



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł — 8 stron

Warszawa, 7 września 1952 r.

Nr 36 (128) Rok III

KAZIMIERZ WYKA

O roli i zadaniach inteligencji twórczej*)

W ramach ogólnopolskiego Frontu Narodowego nie może i nie powinno zabraknąć głosu i udziału inteligencji twórczej, przedstawicieli nauki, sztuki i kultury. Jako jeden z pracowników tej rzeszy, jako pisarz i jednocześnie pracownik naukowy pragnęłbym zastanowić się krótko, jak ten udział powinien wyglądać, co inteligencja twórcza wnieść może i wnieść powinna w ogólnopolski Front Narodowy i akcję wyborczą. Zapytajmy, jaką pozycję daje inteligencji twórczej ustrój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przypięczętowany aktem jej konstytucji? Zebrałiśmy się bowiem tutaj jako przedstawiciele całego społeczeństwa, wszystkich jego warstw, wszystkich terenów, wsi i miast naszego kraju. Każdy z nas przynosi na tę salę swoje doświadczenie społeczne, nabyte w ramach jego pracy i pozycji zawodowej, doświadczenie na pozór indywidualne, w istocie doświadczenie, które w sposób najbardziej osobisty ułożyło go, co dała mu Polska Ludowa i czego wymaga od niego powstający w naszych oczach naród socjalistyczny. Siedzimy tutaj, górnik obok chłopca z PGR-u, tkacz obok nauczyciela, hutnik obok bibliotekarza, student obok swojego profesora.

Wobec tego nasza dyskusja, mająca poprzedzić wybór władz ogólnopolskiego Frontu Narodowego, posiada także sens tych doświadczeń oddzielnych, a w sumie składających się na nurt życia i pracy naszej ojczyzny ludowej. Tak postępując rozumiemy i powiemy z tej sali całemu społeczeństwu, jakie to nauki i prawdy, nabyte w ciągu lat istnienia Polski Ludowej mamy pobudzić i zaktualizować w okresie wyborczym, by w ich imię w dniu wyborów nie zabrakło głosu żadnego Polaka.

Wybaczyć przeto, przyjaciele z całego kraju, że będę po prostu mówił o pieszczotach i doświadczeniach przedstawicieli bezpartyjnej inteligencji twórczej, ale widzianych pod tym kątem ogólnym, pod jakim wspomniamy o zadaniach i roli inteligencji twórczej, chcąc przeto mówić w potrójnym aspekcie — związanym ze sprawami literatury i sztuki, związanym ze sprawami pracy pedagogicznej i szkolnictwa, wreszcie w aspekcie związanym z rolą nauki w narodzie socjalistycznym.

Co pisarzowi i artyście dała Polska Ludowa? Powiem krótko, ograniczając się do tego co najważniejsze: wyrwała go z marginesu społecznego, wyrwała go z samotniczości, oderwała go od służby dla klas posiadających, wyrwała go z tej pozycji, jaką ustrój kapitalistyczny narzucał artyście. Na tych pozycjach nikczemniała twórczość artystyczna, stawała się nikomu niepotrzebna, z osobowości artysty wyzwała tylko część energii, część bynajmniej nie najlepszą. A czego Polska Ludowa zażądała — i słusznie — od pisarza i artysty? Zażądała wpręgnięcia się w życie całego narodu, w jego pracę i budownictwo socjalistycznej przyszłości, zażądała służby najbardziej zaszczytnej, bo zdolnej wyzwolić pełną energię duszy artysty. Dała w zamian temu artyście odbiorcę i czytelnika w tej liczbie, o jakiej marzyć nie śmiał w Polsce burżuazyjnej. Przypomnijmy sobie nakłady książek. Postawmy sobie przed oczyma sieć bibliotek, pokrywającą cały kraj.

W dniu wolne od pracy wejdzmy do muzeów z tłumami zwiedzających. Oto co Polska Ludowa dała artyście: cały naród jako odbiorcę jego wysiłku i trudu, nie — jedną klasę, uprzywilejowaną. Dała czytelnika ludowego, który z nieomylnością, mogącą zawstydzić fachowców i specjalistów, odróżnia fałszywy kamień od brylantu, słomę od ziarna, który właściwie wyznacza, co jest dziełem nieudolnym, a co jest arcydziełem, i tego właśnie arcydzieła słusznie od artystów żąda.

A jak wyglądała pozycja pisarza i artysty w burżuazyjnej Polsce lat międzywojennych? Nakłady najbardziej poczytnych powieści sięgały co najwyżej 2—3 tys. egzemplarzy. Nakłady tomów poetyckich osiągały wysokość „dziesiąt kilkunastu egzemplarzy. Obrazy kupował bogaty snob, jeżeli w ogóle kupować raczył. Dziś nakład 10.000, a więc pięciokrotnie wyższy aniżeli przed rokiem 1939, jest problemem, od którego rozpoczyna się produkcja wydawnicza. Oto co Pol-

ska Ludowa dała polskiej sztuce i literaturze. Jestem profesorem uniwersytetu. Co nauczycielowi na stopniu uniwersyteckim dała Polska Ludowa i czego słusznie żąda?

Posiadamy sieć szkół wyższych, nieznaną Polsce burżuazyjnej. Posiadamy tę sieć tak wyspecjalizowaną, tak dostosowaną do wszystkich potrzeb życia społecznego i produkcji, tak nadążającą w swoim wzroście za tymi potrzebami, że nie znajdziemy kierunku studiów i dyscypliny naukowej, która by w tym rosnącym zespole nie była reprezentowana.

Przed wszystkim naród polski

na plantach krakowskich, zrzucających ze schodów kolegów-Zydów i kolegów występujących w ich obronie. I dlatego, ilekroć ze strony starszych profesorów uniwersyteckich słyszę sarkania na braki w wiadomościach młodzieży — daruję cię, ale wówczas przed oczyma staje mi korporancka szarża z zyletkami u łasek.

Bo nie wolno, ażeby szczególnie przesłaniały istotną proporcję rzeczy. A cóż ta proporcja rzeczy mówi o młodzieży, z jaką pracujemy, jaką kształcimy? Powiada ta proporcja, oświadczam, że młodzieży tak wyrobionej społecznie, tak obowiązkowej, tak wdrożonej w sta-

gielka w gmachu naszej pięknej, naszej ludowej przyszlności. Za taką młodzież, drodzy przyjaciele, ojcowie i matki dziękuję Wam moimi ustami polskie szkoły wyższe. Taką młodzież godna jest uczestniczyć w najwyższym przedstawicielstwie narodu, w Sejmie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Przejdźmy do zagadnień nauki. Przed kilkoma miesiącami rozpoczęła swoją działalność Polska Akademia Nauk. Nie będę wnikał w organizacyjne i inne szczegóły. Chciałbym jedynie zdać kilka powieści o demokracji i kulturze, oglądając, jak nikczemnie nauka i wiedza, oddane w służbę siłom ginącego i odchodzącego świata. Inna jest funkcja i inne są zadania nauki w Polsce Ludowej, szczególnie na odcinku nauk społecznych.

Pragniemy pokoju i walczyć o pokój — musimy w każdym uczciwym człowieku budzić sprzeciw i odrzucić przeciw dążeniu do podboju, do zniszczeń wojennych i do przelewów krwi w imię pomnożenia brudnych zysków garstki plutokratów. Musimy w każdym uczciwym człowieku budzić sprzeciw i głębokie oburzenie na wtrącenie w odmęt straszliwej wojny miłującego wolność narodu koreańskiego.

Wszystcy uczciwi ludzie winni zdziierać maskę z tego co się nazywa „pax americana”, gdyż pod tą maską nie kryje się żadne dążenie do pokoju, lecz drapieżne oblacje wielkich magnatów kapitalistycznych, ludzi pozbawionych wszelkich skrupułów, garstki królów nafty i żelaza, żądnych zysków i władzy, gotowych utopić we krwi cały świat w dążeniu do realizacji ich mrzonek o ujarzmieniu wszystkich kontynentów i o eksploatacji wszystkich narodów.

Awanturczym i zbrodniczym zapędem świata kapitalizmu, skazanym zresztą na sromotne bankructwo, obóz bojowników o pokój

przeciwstawia niezłomną wolę prawdziwego pokoju, niezwyrodną siłę i zwartość setek milionów ludzi skupionych wokół wielkiego Związku Radzieckiego.

Nauka ma służyć i służy pokojowi, służy pokojowemu budownictwu socjalistycznemu. Jej wspaniałe perspektywy rozwojowe w Polsce Ludowej na tej drodze się umieszczają. I dlatego nam, uczonym polskim, jest rzeczą obojętną, jakiemu pokojowi służy nasz wysiłek. Nie wierzę, by istniał pokój bez przymiotników. Nie wierzę, by jakże dobrze znany nam pacyfizm lat międzywojennych stanowił taką siłę, jaką dziś stanowi światowy obóz pokoju. Kiedy uczony polski mówi o pokój — myśli to, że do ofiarnej pracy pokojowej pragnie włączyć masy ludowe, pragnie z nich uczynić ofiarnych budowniczych socjalistycznej świadomości społecznej, pragnie dobra kultury. Bo taki jest tylko pokój prawdziwy, pokój nadchodzący świata.

Znakomita część inteligencji polskiej włączyła się już do budownictwa socjalistycznego. Patos i ważkość stawianych przez to budownictwo zadań porwa coraz to nowe jednostki spośród milczących dotąd lub — coraz rzadszych — o-

pornych. Trzeba, ażeby okres kampanii wyborczej porwał w ten sposób z szeregow inteligencji twórczej jak największą jeaność, porwał wszystkich. Jako szeregowy pracownik, przynależny do tej warstwy, jako sojusznik polskiego robotnika i polskiego chłopca, do ciężkiego trudu wysiłku rąk dorzucający wyniki pracy naukowej, głęboko wierzę, że tak się stanie. Jestem przekonany, że deklarację tę składam nie tylko w imieniu własnym, lecz w imieniu wszystkich pracowników nauki i kultury, bezpartyjnych i partyjnych — pisarzy i artystów, naukowców i pedagogów.

Na pewno w tej akcji nie zabraknie inteligencji twórczej. Włączając się w kampanię wyborczą związki artystyczne i literackie, szkoły i uniwersytety, młodzież i jej organizacje. Stoimy również przed aktem ustrojowym, w którym mamy złożyć dowód obywatelskiego, patriotycznego narodowego zrozumienia obowiązków i zadań jakie przed nami stawia Polska Rzeczpospolita Ludowa, jej produjący oddział PZPR, jej przewodniczący i naucciel całego narodu, Bolesław Bierut.

Kazimierz Wyka



Na przerwie w obradach Ogólnopolskiej Konferencji Frontu Narodowego — delegaci dyskutują. Od lewej ks. Lamparty („Caritas”), Wiktor Markiewka (górniki), J. Dziatkowa (gospodyni wlejska), A. Halbarn (prof. Uniwersytetu M. Curie-Skłodowskiej).

wolny od przemocy i wyzysku klas panujących dla naszej szkole polskiej, dał naszym uniwersytetom to, co najważniejsze: młodzież, dziesięć lat młodzieży — polską.

Pozwólcie, że nad tą sprawą zatrzymam się nieco dłużej. Dlatego, że nasza konstytucja prawo wyborcze daje wszystkim od 18 roku życia i że warto przeto przypomniać, komu to prawo zostało nadane. Dlatego również się nad tym zatrzymam, bo młodzież uniwersytecką znam bez przerwy od dwudziestu kilku lat. Jako żywo pamiętam korporantów z zyletkami wiciętymi w końce łasek. To była ich broń, szarżujących na Żydów

wiane jej wymagania, tak chętniej, pracowitej, tak rzetelnej i niezdołnej do wykręcania się sianem — nie widziałem przed wojną na polskich uniwersytetach. W Polsce Ludowej widuję ją co dzień. Jakież stąd wniosek? Ten jedynie, że naród odpowiedzialny za swoje losy, kierujący nimi, dla swojego dobra, nie cudzego zysku, wydaje pokolenie, stwarza dla tego pokolenia atmosferę moralną i społeczną, w jakiej nie uchowa się inny typ młodzieży, jak tylko ten, który surowo i wiele od siebie wymaga, bo rozumie sens tych wymagań, bo wie, że każdy zdany egzamin, każdy pomyślnie ukończony rok, to ce-

MARIA DĄBROWSKA

W TRZYNASTĄ ROCZNICĘ NAJAZDU

W tegorocznym sierpniowym numerze miesięcznika „Twórczość” zaczęto drukować powieść młodego pisarza, Stanisława Zielińskiego, której tematem są Niemcy pod okupacją amerykańską. W jednym z rozdziałów tej powieści znajduje się zwrotka śpiewanej przez nieohitlerowców piosenki:

Wenn die Messer wieder blitzen
und die Polen wieder sterben,
dann wird Blut von Messern spritzen
Rache kommt von Hitlerserben.

Co znaczy po polsku:

Kiedy znów zabłysną noże
i Polacy znów będą umierać
wtedy krew spod noży trysnie,
zemsta przyjdzie z dziedzictwem Hitlera.

Zwrotka ta nie jest poetyckim wymysłem pisarza. Wielu z nas czytało słowa tej „piosenki” wypisywane w miejscu jej godnym, na ścianach toalet wagonów komunikacji międzynarodowej przynoszących nam od Zachodu taki oto właśnie komentarz do amerykańskiej polityki wojennej.

Jednemu z moich znajomych zdarzyło się nawet przeczytać odpowiedź, jaką ręką polską wypisała pod tym hitlerowskim wyznaniem kłozetowym. Odpowiedź brzmiała: „Czekaj tatka latka.”

Oto manifestacja dwu psychik, a obie wydają mi się jednak nbebezpieczne. Jedna groźna, zawzięta, beztroško ludobójcza. Druga również beztroško dobrodusza, ufna w samą przez się rozumiającą niepowrotność zła, na groźbę odpowiadająca lekomyślnym żartem.

A na tę groźbę Polska musi mieć w sobie odpowiedź równie groźną w gotowości przeciwstawienia się wszystkim godziwymi sposobami wszelkim próbom uzbrojenia neohitlerizmu zachodnich Niemiec.

Nie jest rzeczą bez znaczenia, że piszę te słowa w trzynastą rocznicę tragicznego dnia, w którym wszyscy mieliśmy słyszeć przez radio ze zniemzonego Wrocławia, jakże podobne przytoczonej tu piosence, pogroźki. Nie były one pienne, niosły realną zapowiedź wygubienia narodu polskiego. Tak samo nie jest pionnym przytoczony zło-wrog czterowiersz. Zawiera w sobie całkiem realne zamiary i nadzieje.

Ze na Zachodzie knuje się wojna, to wszyscy wiemy. Ze wbrew deklaracjom o obronie wolności wojna ta w celu zniszczenia nowych form życia tworzonych z takim trudem, wśród takich cierpień ale i z taką wiarą w możliwość zbudowania lepszego świata, gotowa będzie „dla walki z komunizmem” wytracić jako „zarażone”, wszystko, co żyje, z tego, niestety, jeszcze nie wszyscy zdają sobie sprawę.

Są jeszcze ludzie, którym trudności związane z przebudową społeczną i gospodarczą, trudności nieraz przykre, bolesne, trudności nieraz głęboką troską zacięniacząc czoła — do tego stopnia przesłaniają patetyczną wielkość naszego czasu, że gotowi by bodaj w rozpętaniu katastrofy światowej szukać z nich wyjścia.

Ludzie ci, są jak dzieci rządzące się odruchami, niezdołne postępując się rozumem wyprowadzającym z zimną trzeźwością wnioski z doświadczenia historii, które nie zawsze są łatwe i wygodne.

Wojna nie rozwiązuje trudności lecz je piętrzy. Wojna nie łagodzi obyczajów, lecz prowadzi do zdziwienia. Trudności, choćby największe, straty, choćby najboleśniejsze nie mogą czynić człowieka ślepy na używane za cenę strat i trudności — wielkie korzyści.

Szczęściem — ludzi, co tego nie rozumieją, jest coraz mniej.

Olbrymia większość narodu zdaje sobie już sprawę z kilku ważnych rzeczy. Z tego, że historycznie polskie ziemie Zachodnie, podwalina dawnego państwa Piastów, nie mogą nam być wydarte. Ze skoro na wieki wieczne mieć będziemy tych samych sąsiadów, to musimy pozytywnie odnieść się do wszystkiego, co czyni ich naszymi przyjaciółmi, a więc w danym razie do heroicznego wysiłku, jaki podjęła Ludowa Republika Niemiec, aby z wielkiego narodu niemieckiego zmyć hańbę hitlerizmu. Ze wojna z jej ustokrotną teraz możliwością masowego zabijania i burzenia przyniosłaby nam bez względu na jej ostateczny wynik takie zapadnięcie się w grzy i takie wyniszczenia biologiczne, z jakiego może byśmy się już nie dzwignęli. Ze wreszcie hitlerizm odwetowy będzie nie złagodzona, ale nieskończenie bardziej rozszerzona formą tego, z czym borykaliśmy się ciężko przez czarne lata okupacji.

Więź rosnąca większość narodu bez względu na różnice poglądów zdaje sobie już sprawę i z doniosłości naszych reform społecznych. A jakiegokolwiek są niedomagania ich realizacji, rzadkim jest już dziś człowiek, co by nie dostrzegł, że były konieczne, że mimo wszystko, co można by w nich krytykować, są w głównym zarysie tym, o czym marzył i o co walczył najlepszy synowie ojczyzny od XVI wieku. I rzadkim ten, co by nie pamiętał naszych odwiecznych lamentów i gorzkich żalów o to, że zaniechanie wielkich reform społecznych skazywało na klęskę wszystkie nasze powstania i wolnościowe zrywy.

Zrozumienie tego wszystkiego sprawia, że Front Narodowy, pod którego hasłem Polska wkracza w okres nowej Konstytucji i wyborów do nowego Sejmu, nie jest czymś słowem, ani tym bardziej nie jest i nie może być „chwyttem przedwyborczym”, który po użyciu chowa się do lamusa. Front Narodowy ma realne podstawy i potrzebny nam jest długo, żeby obronić przed możliwością wojny i zniszczenia nasze granice, naszą wspaniałą odbudowę i rozbudowę wszystkich dziedzin życia, nasze reformy społeczne, nasze wreszcie istnienie. Front Narodowy pragnie połączyć wszystkich ludzi dobrej woli, stojących na gruncie dzisiejszej rzeczywistości, która nie jest jeszcze doskonałą, ale ma w sobie i wielkie osiągnięcia, i piękne perspektywy nowoczesnego rozwoju Polski. A nade wszystko jest jedną daną nam rzeczywistością, jak jedynym jest dane nam życie. Obojgu musimy sprostać, godnie i twórczo służąc ludowej ojczyźnie, nieczym się nie zrażając, jasno i mężnie patrząc w przyszłość.

Warszawa, 1 września, 1952 roku.

Maria Dąbrowska

ROZMOWY O FRONCIE NARODOWYM

Stojąc przed drzwiami wielkiej sali skąd uidać było w dalekiej perspektywie spięte w pęk sztaendary — wyklócałem się zawzięcie: Po cośmy tak wcześnie przyszli? Będzie co najmniej 15 minut spóźnienia, jak zawsze.

Mijał nas delegaci ostrożnie stąpający po marmurowej posadzce, zza drzwi dobiegał hałas przesuwanych foteli. Było jeszcze prawie 10 minut do podanego w karcie wstępu terminu rozpoczęcia Ogólnopolskiej Konferencji Frontu Narodowego.

I nagła cisza. W tłumie zdążających do drzwi — postać Prezydenta. Cisza odpywa. Nagły zryw oklasków. Prezydent macha przeczącą ręką: „Nie trzeba”.

— Bierut? Który to, który? — pyta głośnym szeptem stojąca za mną dziewczyna w zetempowskiej

koszuli. Nikt jej nie odpowiada. Przecie to jasne...

Ależ nie, to nie było takie jasne. Zdjęcia Prezydenta te, które najczęściej można oglądać w gazetach to: Prezydent na trybunie, Prezydent odbierający defiladę, Prezydent na oficjalnym przyjęciu w Belwederze. A tu — Prezydent zmieszany z tłumem. Fotele na przydzielonym wzniesieniu puste.

Prezydent siada przy jednym z przeznaczających salę długimi, brązowymi smugami stołów. Jest — jednym z delegatów.

*

Patrząc z góry, z balkonu, ma się przed oczyma mapę Polski. Śląsk — stalowe mundury górników. Podhale — góral w wyszywanych kożuchach. Wybrzeże — granatowy strój marynarza Długo patrzyłem na salę, zapelnioną delegatami, urzęczony jej różnorodnością, barwnością. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem nieluzność interpretowania tego widoku według kategorii etnograficznych. Ta sala, ta mapa Polski — to przecież mapa polityczna.

Zacząłem dokonywać nowego przeglądu delegatów, usiłowałem rozróżnić — tu chyba będą działacze ludowi — tu typowy działacz robotniczy — tu typ starego inteligenta ze Stronnictwa Demokratycznego... Kiedy w przerwie sprawdzałem słuszność swoich spostrzeżeń rozmawiając z delegatami, okazało się, że w większości były one błędne. Wtedy dopiero zrozumiałem to, co od początku nie dało mi spokoju, to co od początku czulem, tylko nie umiałem sformułować. Niezwykłą jednolitość Zgromadzenia. Jednolite reakcje na m o c n e akcenty przemówień. Jednolity nastrój — uroczystego spokoju, pewności, dumy.

„Nasz program klasowy, program ideologii proletariackiej, zrosł się jak najściślej i niepodzielnie z podstawowymi interesami narodu z istotą jego niepodległości, szybkiego wzrostu jego sił, wzrostu jego zwartości i mocy wewnętrznej, szczęśliwszego rozwoju jego dalszych dziejów, jego wielkości” — rozlega się z trybuny głos mówcy. Tow. Edward Ochab przemawiając w imieniu Komitetu Centralnego PZPR cytuje definicję Frontu Narodowego sformułowaną przez tow. Bieruta.

„Pragniemy podkreślić — mówi dalej tow. Ochab — że w obecnej sytuacji, po rozgromieniu głównych sił reakcji, uważamy za słuszne i celowe, aby w nowym Sejmie znalazło się więcej niż w poprzednim posłów bezpartyjnych, wysuniętych przez organizację ludu pracującego, cieszących się zaufaniem swego środowiska, wyróżniających się ofiarną pracą dla Polski Ludowej...”

W toku kampanii wyborczej PZPR zacięni więź łącząca awangardę klasy robotniczej z

Dokończenie na str. 2-giej

*) Obszerne fragmenty przemówienia wygłoszonego na Ogólnopolskiej konferencji Frontu Narodowego.

ANDRZEJ MANDALIAN

WIERSZE Z CHIN

Gołębie nad Pekinem

W płomień kwiatów uzbrojona armia,
białym skrzydłem bijąca pieśń,
pieśń, co nigdy nie spadnie darmo,
podniesiona do ciosu pieśń.

Ani skry z gorejących kwiatów,
ani twarzą, rzeźbionych w bieżnie,
ani kroku tej defilady
nie potrafię wam opowiedzieć.

Tylko pamięć połączy naraz
człowieczego uśmiechu głębię
z rozbryzganą fają sztandarów,
z czystym, białym lotem gołębi.

*Gołębie nad Pekinem, gołębie,
jak wam dobrze w tym dobrym kraju,
moja ziemia w dymach się kłębi
i gołębie tam nie latają.*

*Moja ziemia drapieżca ukradł,
mojej ziemi żołdak się najadł,
rozdziobał ją czarne kruki,
i gołębie tam nie latają.*

Na czerwonym ogromnym placu,
nad majową powodzią życia,
nad uśmiechem miasta Pekinu,
na trybunie dla delegatów,
usta zagryzając, by nie krzyczeć,
placze koreańska dziewczyna.

Księgi lichwiarzy

Cóż, że Chiny widziałem w kinie,
i nie kłamią palmowe mirażę;
pokazali nam dziś w Nankinie
rachunkowe księgi lichwiarzy.

Podziękujmy twórcom alfabetu,
im naprawdę nie brakło sprytu,
hieroglif ma tę zaletę,
że go chłopska pamięć nie chwytą.

Chłopskim łbem do prawdy nie docieć,
jedno w chińskiej pamiętają wsi:
długi dziada odrabia ojciec,
długi ojca i dziada — syn.

Ucz się bracie, liczyć i ważyć,
wypożyczać jadlo i sprzęty,
Zapisane jest w księgach lichwiarzy,
że ta ziemia niesie procenty.

Zapisane jest w księgach lichwiarzy
że ta ziemia płynie mlekiem i miodem,
a ta ziemia płynie krwią i potem!

Głodne grunty, choroba, wszy,
martwe dziecko o nabrzmiałej twarzy,
cała krzywdą kłęczącej wsi
zapisana jest w księgach lichwiarzy.

Matematyk ze mnie nie tegi,
ja z tej całej lichwiarskiej chińszczyzny
przeczytałem tylko cztery blizny,
przeszywające karty księgi.

Niewprawne są palce fernali
nie uczono ich pisać kędę,
wybaccie im,
rachunki biedy
oni nożami przekreślali.

Rzeka Hoaj

„Małe deszcze — małe nieszczęścia,
wielkie deszcze — wielkie nieszczęścia,
brak deszczu — kłeska”

Przysłowie ludności chińskiej
zamieszkującej dorzecze Hoaj.
„Rzeka Hoaj musi być poskromiona”.
Mao Tse-Tung.

I

Deszcze nasyla czarł lub smok
za ciężki chłopski grzech,

Statystyka mówi:
co drugi rok
woda porzuca brzeg.

Pieskie jest chłopskie życie,
płyną drewniane budy;
ziemi strzeże właściciel,
nieba pilnuje Budda.

bronią żołnierskie pięści
boskiej i pańskiej zagrody,
ale na chłopskie nieszczęście
nikt nie pilnuje wody.

Kłaniaj się, chłopie, panom,
wszystko jak jest opowiedz,
dadzą ci gaolanu
dobrzy ludzie, panowie.

Kłaniaj się, chłopie, Buddzie,
proś, by ratował kraj
przed pożerającą grunty i ludzi
czarną wodą Hoaj.



Ale ludzie na brzegach wód,
ci, co panów gnali cepami,
powiedzieli, że nie ma Budd
i że sobie poradzą sami.

II

Orzą w wodzie człowiek i wół,
ionie w wodzie ryżowy kraj,
i przestrzenie zielonych pól
to łożysko rzeki Hoaj.

Ale my odmienimy bieg,
czarne grunty tocących wód,
zbuntowane łożyska rzek
upokorzy człowieczy trud.

Poprzez światło wyloty tam
porzucając dawne dorzecza

nasze rzeki popłyną tam
gdzie im każe ręka człowieka.

III

Ludzie nie liczą godzin,
dniami się ludzie kułę
w zlodowaciałej wodzie,
w sięgającym do kolan mule.



Zamarzłe skorupy koszul,
półtora miliona chłopów,
a ziemię tu noszą w koszach,
a walą ją ciosem łopat.

Tu młot parowy — marzenie,
ale kamieni — w bród,
w żelazo kutym kamieniem
tu ubijają grunt.

I nie ma ekskawatora,
i jeszcze nie prędko będzie,
a motor jedyny — serce
pracuje o własnym napędzie.

Łamią chłopskie motyki
opór zmarzłego ładu,
pada na szósty miesiąc
kilometr sto sześćdziesiąty.

IV

W nocy skrzypi pod butem żwir,
deszcz się sączy przez zgniły strop,
do świetlicy przynosi drzwi
pod ciężarem zgarbiony chłop.

Mówi cicho by tych, co drzemią,
nieostrożnym szeptem nie zbudzić,
że od dziś będzie spał na ziemi,
bo te drzwi on daruje ludziom,

i zawiesza je tu na haku,
na szerniałej wilgotnej ścianie,
żehy tych, co nie znają znaków
nauczyły sztuki pisania.

Płynie noc w księżycowym świetle.

Jeszcze będą motor i dźwigi,
jeśli chłop przynosi do świetlicy
swoją jedyną majątek — drzewi.

V

I gdy przyjdzie przyszłości maj,
będą radość i chleb na codzień,
chciałbym znaleźć w wiślanej wodzie
kropki chińskiej rzeki Hoaj.

Bo wierzę w zwycięstwo ramion,
w zorane przestrzenie calizn,
w tych ludzi, co z motykami
ruszyli po socjalizm.

ROZMOWY O FRONCIE NARODOWYM

Dokończenie ze strony I-szej

całym ludem pracującym, partyj-
nych z bezpartyjnymi, uczyni
wszystko, co w jej silach, aby
pogłębić sojusz robotniczo-chłopski
i umocnić Front Narodowy”.

Skupiona w ciasne pótkole dy-
skutuje na korytarzu w czasie
przerwy w obradach czwórka dele-
gatów: górnik, ksiądz, kobieta w
barwnej chustce i siwy dostojnie
wyglądający starszy pan. Podbiega
fotograf, błyska żarówka reflektora
przy aparacie fotograficznym, zbie-
gają się dziennikarze, wyciągają
notesy, przerywają rozmowę pyta-
niami: nazwisko, zawód, skąd, kie-
dy?

Górnik: — Markiewka, kopalnia
„Polska”.

Ksiądz: — Lamparty, „Caritas”.
Dystyngowany pan: — Halbarn,
prof. Uniwersytetu M. Curie-Skło-
dowskiej.

Kobieta w chustce: — Dziakowa
z Jelonkowiec, przewodnicząca... (ru-
tinowany dziennikarz spieszy się,
dopowiada): spółdzielni produkcyj-
nej! (notuje). Kobieta w chustce:
ależ nie! (głos ma odciętą burze-
nia) przewodnicząca — Kola —
Gospodyni — Wiejskich. (Dzienni-
karz kreśli w notecie, pisze od no-
wa, kobieta mówi dalej): u nas,
wicie, jeszcze takiej spółdzielni nie
ma. Ja tu ze wsi przyjechałam,
zwykłej.

Mówi o ludziach, którzy repre-
zentują Polskę na tym Zgromadze-
niu. Jak doszło do tego, że dziś
znaleźli się tutaj? Jak szli przez
życie aż do dzisiejszego dnia?

Mówi w imieniu Stronnictwa Lu-
dowego Stefan Ignar:
„W pracy naszej możemy się
poszczycić tym, że wielu zara-
nialarzy, radykalnych wyzwolen-
ców, bojowników NPCh uczi-
wych wicłarzy, ofiarnych be-
chowców i członków lewicy SL —
uczestników strajków i walk —

bierze udział w wykonywaniu
Planu 6-letniego i przebudowie
wsi, jako wzorowi członkowie
ZSL. Niemniej cieszy nas i to,
że po wyzwoleniu wyrosły w na-
szych szeregach spośród chłopów,
którym władza ludowa dała ziem-
ię, dostęp do pracy i nauki —
dziesiątki tysięcy młodych lu-
downców, którzy wychowanie po-
lityczne i społeczne otrzymali w
Polsce Ludowej”.

Myślę, jakże ciekawe muszą być
drogi przeżyć bohaterów tego ze-
brania tak różnych, a jednak zbie-
gających się na ostatecznej, wspól-
nej wypadkowej — drodze Planu
6-letniego, drodze do Socjalizmu.

Ro-mawiam z przewodniczą
pracy Franciszką Zawadą ze spółdziel-
ni produkcyjnej w Kamieńcu Zab-
kowieckim kolo Wrocławia:

— Myślicie, że mi to łatwo bez
niczego przyszło do tej przewodni-
cy? Jeszcze rok temu byłam za
mężem, co miał gospodarke na sta-
rych ziemkach. Nie łatwe miałam
życie w domu. Nie zgodziłam się
z mężem, odkał nowa władza ludo-
wa przyszła. Ja za Polską Ludo-
wą — on za sanacją trzymał. Plu-
nęłam — tju! — wzięłam dzieci i
na Zachód, do spółdzielni.

Sluchając tego opowiadania za-
czynam rozumieć, że nie można
przechwycić osobistych przeżyć
„własnych” spraw — sprawom po-
litycznym. Myślę o konflikcie no-
wego typu — tak „poszukiwanym”
przez powieściopisarzy. Patrzę na
salę. Wśród delegatów znajdują się:
Maria Dąbrowska, Leon Kruczkow-
ski, Kazimierz Wyka, Jerzy Putra-
m’nt, Seweryna Szmaglewska.

„Inteligencja twórcza i tech-
niczna, pracownicy nauki i sztuki
mają w Polsce Ludowej nieogran-
niczone możliwości twórczej pra-

cy dla dobra narodu. Inteligencja
polska przestała być kapitali-
stycznym klientem. ubogim po-
gardzanym krewnym, wręgnię-
tym w służbę obszarniczo-fabry-
kanckiej i bankierskiej klikki, a
w sojuszu i pod kierownictwem
klasy robotniczej stała się cenio-
nym towarzyszem pracy,
współodpowiedzialnym za losy
Ojczyzny — przemawia prof. Sta-
nistaw Kulczyński.

Droga do Frontu Narodowego,
droga do pracy dla Ojczyzny ot-
wartą jest dla tych — przy-
znajmy dość licznych wśród in-
teligencji, którzy w swej prze-
szłości błądzili, poddając się
wpływowi olczej ideologii a dziś
oddają swe sily dla umocnienia
naszej Ojczyzny.

Polska Rzeczpospolita Ludowa
jest surowa dla wrogów, gdyż
tego wymaga dobro ogółu — peł-
na życzliwość dla wszystkich bez
wyjątku którzy wnoszą twórczy
wkład pracy w ogólny wysiłek
narodu. Świadectwem tej posta-
wy, a zarazem wyrazem stosun-
ku Polski Ludowej do zagadnień
kultury jest chociażby bezstron-
ność, z jaką rozdzielane są na-
grody państwowe za zasługi nau-
kowe, techniczne i artystyczne”.

Rozmawiam z księdzem Lampar-
tym:

— Myśli pan, że łatwo mi przy-
szło poznać do fotografii tak jak
dziś? Pamiętam, kiedy na jednym
z pierwszych Kongresów w Obro-
nie Pokoju wziął mnie pod rękę
biskup angikański i stanęliśmy ra-
zem z nim przed fotoreporterem
ścisnął sobie ręce, uśmiech mój
tłumiła obawa: co będzie jak to
zdjęcie ukaże się w prasie? Ksiądz
katolicki z walczącym innowierca!

Co będzie, jeśli władze kościelne
nie zrozumieją tego i wyciągną
konsekwencje?

*

— Wymienie wypowiedź Kruc-
kowskiego za wypowiedź Markiew-
ki — szepeć mi do ucha młoda
dziennikarka. — Czytaicie co po-
wiedział mi Kruczkowski, potem
dacie do przeczytania swojego Mar-
kiewkę?

„Front Narodowy — Czytam w
notesie dziennikarki słowa Kruc-
kowskiego — jest organizacyj-
ny... ujęciem wielkiej idei ludo-
wego patriotyzmu, który przeni-
ka całą nas, rzeczywistość i jest
niejaką klimatem naszego budo-
wnictwa socjalistycznego. W
przeciwstawie do jednodo-
wych burżuazyjnych bloków wy-
borczych w ustroju kapitalistycz-
nym, tych osukańczych spółek z
bardzo ograniczoną odpowiedzial-
nością — jest on trwałym i cią-
gle rozwijającym się sojuszem
wszystkich pracujących Polaków,
sprawdzalnym i sprawdzanym w
życiu codziennym, na każdym
odcinku życia narodowego”.

Obtwarzam swój notes Co powie-
dział mi Markiewka? Ah!:

— No cóż, dobrze jest, towarzysz
szu. Jesteśmy siłni.

— No, i?... — wyciągałem Mar-
kiewkę na dłuższą wypowiedź.

— Ja robię Wy piszecie. Więc
napiszcie i o Froncie Narodowym
jak tam się wam widzi najlepiej.
To do was należy.

Przypominam sobie krepą, silną
postać górnik obejmującego zloc-
ne poręcz fotela szerokimi dłońmi
z wórtymi nod skóre drobniatę
węgla. Powtarzam dziennikarce
słowa Markiewki. Jesteśmy siłni.
I dodaję: piszmy — to do nas
przecie należy.

sk.



ARNOLD SEUCKI

WITAJ, SZKOŁO!

Słowiczku mój, a leć a piej...

Chuderalny dyrygent zagłuszał swoim zachrypłym tenorem chór
wątłych głosów dziecięcych. Inauguracja roku szkolnego odbyła się
w Kłatwach, wsi mego dzieciństwa, w zabłoconej remizie straży po-
żarnej. Dwa bosaki strażackie wisiały ponad podium.

Szkola nie miała sali rekreacyjnej. Bo i z czego ją wykroić? Po
dwie klasy przypadło na jedną izbę; sześcioro dzieci w jednej ławce
trącało się łokciami.

Słowiczku mój, a leć a piej...

Płocenny tornister przewieszony przez ramię; boso, na przelaj
przez rozmokłe łąki i torfowiska szły dzieci z okolicznych wiosek do
klatewskiej murówki, wychudzone, z pieczęcią przednówka na wy-
żółkłych twarzyczkach.

W moich rodzinnych Kłatwach władza nie dbała o oświatę, nie
dbano o nią także w powiecie, ani wyczej.

Milion dzieci chłopskich i robotniczych był w latach 1936/37 po-
za szkoła.

Dudniły chłopskie furmanki po wyboistych drogach Lubelszczyz-
ny, w Rzeszowskim i na Mazowszu.

— Dokąd jedziecie, chłopcy?

— Na wielki wiec! Lopotyły zielone sztandary, podwoły uginaly
się pod ciężarem ludzkim. Prawa do ziemi, chleba i oświaty domaga-
li się młodzi chlopi. Na rogatkach miasteczek oczekiwali ich krawcy,
szewcy i tkacze; dosiadali umajonych wozów, wśród zielonych sztan-
darów tu i owdzie wyrastały czerwone, robotnicze.

Łatwiej przyjdzie tedy nam zrozumieć decyzję starosty powiato-
wego z Rawy Ruskiej.

— Jest nas stu pięćdziesiątu gospodarzy. Obiecujemy dać bez-
płatną robociznę, pokryć część kosztów roboczych. I o budulec postar-
amy się — zapewniła chłopska delegacja. Chłopi z gormady Żelazna
postanowili własnymi siłami zbudować szkołę.

— Żelazniacy, żelazniacy — perswadował delegatom starosta, wy-
cierając szkła — A po co wam w Żelaznej szkola, kiedy jest w Lubaniu.

Nie pomógł tu chłopski upor ni chłopska zapobiegliwość. w Luba-
niu, jak w Kłatwach, oświata była niebezpieczna. Sanacyjni staro-
stowie, podobnie jak szwedzcy, „horodniczy” czuli niebezpie-
czeństwo, jakie kryje w sobie oświata ludowa.

Revolucja społeczna i kulturalna, która dokonała się w naszym
kraju, dotarła także do Kłatw i Lubania. Doczekała się także szkoły
wleś Żelazna.

W bieżącym roku szkolnym mamy 12 640 szkół siedmioklasowych.
W latach 1938-39 mieliśmy ich 4.430.

W szkołach siedmioklasowych pobiera obecnie naukę ponad
osiemdziesiąt procent ogólnej liczby uczniów szkół podstawowych. Do
roku 1939 — 45 proc., a na wsi — zaledwie 27 proc.

Przed 1939 rokiem przeważającym typem szkoły była szkoła o jed-
nym nauczycielu. Szkół takich mieliśmy ponad 18 000 na ogólną liczbę
27.235 szkół. Obecnie ilość ich została zredukowana do 4.525, a pod
koniec planu sześciolatniego zredukowana będzie do minimum.

Przed wojną na sto tysięcy mieszkańców przypadało 47 uczniów
szkoly średniej, obecnie liczba ich wzrosła do 74.

Powszechność nauczania, marzenie najszlachetniejszych ludzi na-
szego Oświecenia, realizowana została w Polsce Ludowej, która otwo-
rzyła także dla robotników i chłopów wrota wyższych uczelni. Ziszcilo
się marzenie Kollatajów i Konarskich. Orzeszkowej i Żeromskiego.

Państwo ludowe, dźwigając fabryki i miasta z gruzów, zbudowało
także materialną bazę dla powszechnego, demokratycznego szkolni-
ctwa.

Przepełnienie szkoły nową treścią powierzyło nauczycielowi, który
w niełatwych warunkach pracy i bytowania spełnił i spełnia swój
obowiązek.

„Nasze zaufanie do nauczycielstwa — powiedział Edward Ochab
na III Zjeździe ZZNP — wyrastało z analizy konkretnych faktów.
Podstawowa masa nauczycieli, nawet tych, którzy ulegali wahaniom
politycznym, choć nie zawsze zdawali sobie sprawę, w jakim kierun-
ku zmierza rozwój społeczny w Polsce Ludowej, dokąd Partia prowa-
dzi naród, dlatego koniecznie jest walka z nikolajczykowskiimi agen-
turami imperializmu, to jednak swe zasadnicze obowiązki zawodowe
i społeczne wypełniła zgodnie z nakazem sumienia obywatelskiego
i instynktu patriotycznego, nieomylnego instynktu człowieka pracy”.

Tym nieomylnym instynktem kierowała się długoletnia nauczy-
cielka szkoły podstawowej na Woli, Kazimiera Kolakowska, kiedy w
mroźny dzień zimowy 1945 roku, po wyzwoleniu miasta skłiła okna
zrujnowanej szkoły. Kolakowska, obecnie kierowniczka tejże szkoły,
niedawno odznaczona została Złotym Krzyżem Zasługi.

Uczestniczyłem w posiedzeniu rady pedagogicznej, miałem moż-
ność wysłuchania mądrych uwag doświadczonej nauczycielki.

Zdawałoby się pozornie blaha sprawa: dzienniczka ucznia...

A przecież tu chodzi nie tylko o formalność. Dyskusja o dzien-
niczku stała się na radzie pedagogicznej punktem wyjścia dla idee-
owego pogłębienia wizeru z rodzicami. Więz z masami, to przecież naj-
istotniejsza cecha każdego działacza z prawdziwego zdarzenia.

Wzrosł zasłużony autorytet nauczyciela ludowego w naszym na-
rodzie. Któż nie zna na Woli kierowniczkę szkoły, prawdziwego przy-
jaciela i doradcę młodzieży, młodych nauczycieli i rodziców.

Na krańcu Woli, wśród spalonych dzielnic, gdzie piętrzą się zwaly
budulec i pyl wapienny osiada na drzewach, wznosi się szkoła.
Na Woli i Ochocie, na Czerniakowie i MDM-ie, w moich rodzin-
nych Kłatwach na Lubelszczyźnie, w Lubaniu i Żelaznej dziedzińce
szkół zapelniają się dziś radosnym rozgwarem.

Witaj szkolo! — mądrych szlachetnych i szczęśliwszych ludzi.

JAK BĘDZIEMY WYBIERAC
DO SEJMU?

ORDYNACJA WYBORCZA
DO SEJMU
POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ
LUDOWEJ

Str. 104 21 1.30

„KSIĄZKA I WIEDZA”

SEWERYN POLLAK
POCISK I SŁOWO
wiersze

str. 62 21 7,-

TADEUSZ RÓZEWICZ
WIERSZE I OBRAZY

str. 59 21 6,-

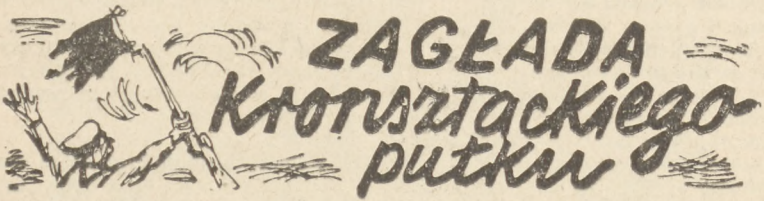
KONSTANTY SIMONOW
ROSJANIE

Sztuka w trzech aktach
str. 110 21 7,-

CZYTELNIK

Wybór zamieszczonych poniżej opowiadań pisarzy radzieckich o tematyce typowej dla czterech przełomowych okresów w dziejach ZSRR: wojny domowej, pierwszej Stalinowskiej Pięcioletki, wielkiej wojny narodowej, oraz budownictwa Komunistycznego — publikujemy w związku z XIX Zjazdem WKP(b) RED.

WSIEWOŁOD WISZNIEWSKI



Chodzą służy, że było ich — tysiąc, dwa, trzy. Lecz nikt nie wiedział dokładnie ilu ich było.

Ja wiem, że było ich tysiąc osiemset osiemdziesięciu pięciu. A wszyscy, jeden z drugiego, podobni do siebie jak nadbrzeżne sosny bałtyckie. Wspaniałym krokiem przeszli przez Plac Kotwiczny w Kronsztacie i rzucili pożegnalne spojrzenie na port odeszli na daleki front lądowy. W papierach tych zuchów widniało: „Marynarz Wojenny Pierwszego Morskiego Kronsztackiego Pułku”.

Siedemnasty grudnia 1918 roku... Pułk stoi pod wsią Kuzniecowska na Uralu. W nocy biali sybiracy ruszyli na marynarzy. Telegraf stuka: „Przeciwnik w sile około sześciu tysięcy bagniet rozpoczął atak na odcinku Kronsztackim...”

— Ho-ho, Marfuszka, nastaw samowar, goście jadą!
— Gady syberyjskie, spać nie dadzą...
— Rozszarpiemy ich!
— Zgnieciemy!
Tyrallierka w śniegu... Szeregiem przekazują:
— Cel stały Bez rozkazu nie strzelać...

Tak. To znaczy d-rzucić ich blisko. A noc księżycowa odpowiednia do tego — na śniegu przecież wszystko widać.

Idą sybiracy. Marynarze patrzają:
— Dobrze idą, słowo daję!

Cekaemiści pośpiesznie dopalają papierosy, później nie będzie na to czasu — zbliża się bój, a mogą i zabić.

Tytoniu mało, marynarz prosi:
— Zostaw dla mnie...
— Pociągnij. Inny też prosi:
— Złazasz się do koleżki...

Pociągnął i on. Okurek parzy palce, nie można go utrzymać — ale mi ludzie sprytni, nakładamy go na zaostrożoną zapalniczkę i do ust. Na kilka pociągnięć starczy. — Wszędzie trzeba pomysłowości, przyjacieli.

Komisarz dodaje im otuchy:
— Trzymajcie się ziemi, chłopcy. Wpuście w nią korzenie, wrośnijcie jak drzewa!

Idą sybiracy...
— A może im tak zagrać?
— Stop. Nie śpieszyć się. Bo się skryją...
Marynarze żartują:
— Misza, możebyś dla bezpieczeństwa oddał legitymację partyjną na przechowanie?

Misza patrzy z ukosa:
— Pleciecz w swoim imieniu, czy w imieniu gospodarza?
— Dzwonne pytanie — gospodarzy zlikwidowaliśmy. (Nagle zmienionym głosem). A czadony*) blisko... Ot tam... Spójrz, Miszo!

— Widzę...
Sybiracy podchodzą tyrallierką, skokami. Przerwy we froncie na trzy kroki. Wszyscy umilkli. Cisza. Ktoś szczerka zębami. Słychać ekrzwienie śniegu. Dowodcy marynarzy — starzy, doświadczeni — czują instynktownie, że sybiraków trzeba ubiec, trzeba im przypiec zanim zaczną krzyczeć „hurra”. Z okrzykiem „hurra” łatwiej iść, a jeśli się ich przedtem uderzy — trudniej będzie im atakować.

Chłopcy leżą, lewymi łokciami zlobią pod sobą dotki. Nie jeden nacłaga spust, by nie szarpać za wcześniej Pies pułkowy, zabrany z krążownika, począł skomleć. Psyknęli na niego — umilkli. Dla cekaemistów przynoszą imbryki z gorącą wodą — trzeba rozgrzać chłodnicę cekaemów. I nagle ze skrzydła: „Wprost na przeciwnika! Stańby ogień. Kompanijny!”

Stary podoficer zakomenderował jak w roku trzynastym, na parady.
— Kompania-a!
— Poczekamy... Bierzcie na wytrzymałość...
— Pal!

Ależ chlusnęli! Ależ bryznęli! Z jodeł śnieg się osypał...
A cekaemiści czekają, ukrywają swe „Maksymy”. No, podejdz bliżej, kotzaku!

— Zagramy ci na powitanie.
Sybiracy krzyknęli: „Rr-a-a”. Ale słabiutko...
— Ognia!

Marynarze biją ogniem rozproszonym.
— Szerzej rozdziawiaj usta, łap!
Sybiracy okopują się...
— Dostali!

— Dokąd się pchacie, tu dla niepalących...
Cisza...
— Czas miał. Ataków było dziesięć.

Przez dwie doby sybiracy oblegali pułk, zacieśniali krąg. Pułk cofnął się i zajął pozycję kolistą... Osaczony... Pod koniec drugiej doby, 19 grudnia, sybiracy przygotowywali się do dziesiątego ataku. Zaczęli ich zasypywać szrapnelami.

Chłopcy pokrzykują z tyrallierki:
— Sanitariusza.
— Nosze...
Odpowiedź brzmi:
— Wszyscy sanitariusze w tyrallierce...

Szosta kompania posiada po siedem nabojev na żołnierza. W okrążeniu to nie wiele. I nagle:
— A kto po naboje?
Zerwali się... Kto krzyknął?
Wasia odpowiada:

— Naboje są. Kto idzie ze mną? Ściągniemy je z zabitych...
I wskazuje na białych. A tych w odległości dwustu kroków na śniegu tyle, że nie zliczysz.

— Idź, idź, dadzą ci tam pieprzu. Mają oni już dla ciebie zapas...
Wasia mówi:
— A pan Misza oczywiście zamówił dla siebie w Tule wagon nabojev i nie przejmuję się, bo wagon wiozą mu dwie lokomotywy ekspresem.

Misza leży, milczy.
— Czyżby szanowny pan nie miał ochoty rozmawiać? Boi się, co? Misza milczy. Wasia wstał i podszedł do niego wraz z czterema innymi. A Misza leży, nie rusza się. Politruck mówi:
— Nigdy nie myślałem źle o Miszy, a jednak teraz nie poszedł...
— Komunard!

A Misza leży w tyrallierce cichy, nierozmowny. Jest ciężko ranny. W tyrallierce dyskutują:
— Czy utrzymamy się do wciągnięcia flagi?
— Nie.
— Zgniotą nas...
— Mówią, że odsiecz nadchodzi...
— Ach, uściskałbym na pożegnanie jakąś staruszkę siedemnastoletnią...

Wasia pelza po śniegu. Dozogał się. Jakis brodaty żołnierz leży na brzuchu z odrzuconym ramieniem. Polyskuje aluminiowa obrączka. Głowa wykręcona na bok, w oczach zamrożone łzy. Wasia rozmawia z nim:
— Ech, ty głupia brodo! Dorosły chłopak przecież, i z tego...
Mruży Wasia podczas roboty:
— Spij dziecięco droga, niech Bóg snu twego strzeże...
Zabiera trupowi naboje i dodaje:
— Kotzack pije słodką herbatę. A ty, martwy, marniesz, tu na mrozie (liczy naboje). Jeden, dwa, trzy, dziesięć — i to się przyda...
Twoja robota skończona, a nam przyjdzie może jeszcze cały dzień przeżyć.

I poczołgał się dalej. Zebrali mimo wszystko pewną ilość nabojev. Znowu rozrywają się szrapnele. Potem ucichło. Kule świszcą bezustannie: — Pi-u pi-u...
— Poszła kula na spacer.
Ruszyli się sybiracy, zaterkotały cekaemy.
Ranni z drugiej kompanii siedzą i leżą w rowie.
— Z'owu ruszyli...
— Może odsiecz nadejdzie...

— Gdzieby móc się wody napić...
Z gorączki ranni jedzą śnieg...
— Towarzysze, wody... choć jeden łyk... O-och...
Ranni jedzą. Pokaśłali ręce. Jeden z nich przyczolgał się do dołki, w której topiono śnieg dla cekaemów.

— Daj łyknąć...
— Masz, tylko nie dużo, ognisko gaśnie, a cekaemy stygną. Dokoła rzedły jodeł, a nie ma co kłaść w ogień. Ile było gałęzi — polamali, porabiali, spalili...
— Dajcie kociołek dla rannych.
— Nie można, bracie...
Nadbiegli cekaemiści.
— Dawaj wodę...
— Tu ranni proszą...
— A my co wlejemy do cekaemów?

Ranny spojrzal na cekaemistów i powiedział:
— Bierz wodę, bracie. Pułk musi odbić atak. My wytrzymamy...
I znowu ranni jedzą śnieg i z cicha jedzą:
— Pić... pić...
Obok leży komisarz. Bok ma rozzerwany, ocieka krwią, lecz uspokaja żołnierzy:
— Wytrzymamy, przyjaciele, wytrzymamy...
I komisarz zachłystnął się krwią. — Marynarze odbili atak ostatnimi nabojami.

Pólnoc minęła. W piątej kompanii palą papierosy, rozmawiają cicho.
— Zdaje się, żeśmy wpadli...
— Wygląda na to...
— Nadchodzi odsiecz, cała brygada.
— Bzdury pleciecz.
Dowódca i dwóch ocalałych komunistów dyskutują:
— Pułk był i powinien być.
— Uderzyć na nich wszyscy razem — może się przebijemy.
— Nie ma już komu uderzać. W kompaniach pozostało po dwudziestu ludzi.

— Cóż więc robić?
— Przyjąć ich granatami a potem na bagnety. Ktoś zajmie się rannymi.
Kompanie przygotowują się. Granatem działającym na odległość jest „cytrynka”. Brał, granaty do prawej ręki, lewą zrywali wolny koniec taśmy z główki zapłonu.

— Zapamiętaj, towarzyszu, przepisy przygotowania do boju: prawą ręką potrzymaj deseczkę jak zapalniczkę. Ogień przejdzie po wewnętrznej sznurze Bickforda do spłonki. Zamachnij się i rzucaj od razu. A ci którzy mają granaty butelkowe, niech również zapamiętają: Brać granat do prawej ręki. Lewą zdjąć kapturek ochronny, ucażyć prawą ręką granat raz lub dwa o lewą dłoń. (Ot tak jak butelkę z wodką. A przepiukałoby się ząbki u kresu pod koniec życia). Iglica uderzy w spłonkę, która się zapali, ogień przejdzie po sznurze Bickforda do ładunku. Do pięciu sekund wybuch, rzucaj...
— Wszystko w porządku?
— Wszystko.

Wasię wezwano do dowódcy kompanii, do komórki partyjnej...
— W jakiej sprawie?
— Gdzie harmonia?
— Jest na swoim miejscu. A o co chodzi?
— Umiesz zagrać „Wykłęty powstań ludu ziemi”?

— Nie... Ja gram raczej pieśni, romanse i tańce...
— Dziwak z ciebie, dlaczego nie nauczyłeś się?
— Niech tylko biali zaczekają — nauczę się. Proszę bardzo...
— Mów do rzeczy. Co umiesz zagrać?
— Umielem „Na sopkach Mandurii”, „Pas d'Espagne”, „Krawkowiacka”, „Pieśń palacza”...
— Trzeba by czegoś odpowiedniego.
— No to „Wariag”.
— To stare.
— Za to marynarzkie! A właściwie do czego to potrzebne?
— Będiesz zaraz grał w tyrallierce.

— To wspaniale! A potem i odsiecz przyjdzie...
Poszli. Wasia wyciągnął saratowską harmonię i zagrał z fantazją.
„Aj, och — ichu — achu — achu — achu — cha!”

W tyrallierce:
— Ależ to cudak! Zuch z niego!
— Graj, graj, Wasia!
— Właśnie się szykuje...
Przygotował trzy granaty, wyziobił w śniegu odpowiedni dotek i przedstawił się:
— Słuchaj, kompanio... Seans się zaczyna. Ulubieniec publiczności z krążownika „Rosja”, kawaler kronsztackich dam, maszynista Wasia Demin.

Marynarze uśmiechnęli się:
— To ci zaraza!
Rozległy się głosy białych:
— Do ata-a-ku!
I znowu sybiracy ruszyli. Zaterkotały cekaemy i skończyły się naboje u marynarzy Harmonia tylko gra...
Sybiracy idą. Śnieg skrzypli. Znowu się skryli, a marynarze krzyczą:
— A-a-a...
— Cóż to, buty was gniotą?
Dowódca woła:
— Trzymajcie się, chłopaczki, odsiecz nadejdzie!

Nie nadejdzie żaden diabeł towarzysze. To tylko rozmowa dla podniesienia na duchu. Chłopcy rozumieją to. Sybiracy ruszyli znowu. Marynarze pochwytili granaty...
— Towarzysze, trzymajcie się razem, rufy nie pokazujcie.
A Wasia drze się znowu:
— Jako pierwszy numer programu zostanie wykonana popularna melodia marynarska „Wariag”... trzy, cztery...

Gotowi do boju, choć krwi nam już brak,
Nadchodzi ostatnia parada.
Nie podda się nigdy nasz dumny „Wariag”
O litoś! nikt wroga nie biega.

Cóż robić — skoro Wasia nie umie zagrać czegoś bardziej odpowiedniego. Wybaczone mu.
Furkocą chorągiewki, brzęczą łańcuchy.

Podnoszą kotwicę...
„Wariag” oddał przysługę pułkowi — różnie to bywa...
Dowódca krzyknął:
— Do granatów!

Jeden — ten z komórki partyjnej — podbiegł do rowu gdzie leżeli ranni.
Raz... Dwa... Trzy... Rzucił jeden, drugi, trzeci granat: Rr-aach ach-ach... Na swoich, na rannych? Jasne — a cóż z nimi zrobić? Pozostawił ich Koltczakowcom, żeby im kieszki nożami wypruwał...
Ach wy — litościwi!

Towarzysz wrócił do tyrallierki. A tam wszyscy stoją już wyprostowani, w podniesionych rękach granaty. Wasia gra „Wariaga”...
Biali wołają:
— Poddajcie się!
Z pułku odpowiadają:
— I co jeszcze?
— Siadajcie!
— Walić!

Poleciały granaty. Syplą się iskry — płonie fosfor „cytrynek”. Sybiracy odskakują, ten w tył, ten w przód, nie lubią takiej zabawy.

Martwy leży Pierwszy Kronsztacki Pułk.
Leży pod wsią Kuzniecowską. Znam tylko dwóch żywych — z pułku wydostali się Jemiellanow i Stepanow...
— Towarzysze chłopcy wsi Kuzniecowskiej, ustawcie kopiec z kamienia nad mogiłą poległych — ku pamięci pułku.

Do Kronsztatu nadeszła z frontu wschodniego wiadomość o wykreśleniu ze spisu 1-30 Morskiego Kronsztackiego Pułku.
W porcie Kronsztackim żałoba na okrętach.
— Baczność!
— Opuścić flagi!

Opadły flagi do połowy masztu. Na pokładach marynarze stoją na baczność. Śnieg pada cicho. Żałoba.
Stoją minuty, mijają lata...
Aj, oj-ich-achu-acha-cha!” Ruszył z Kronsztatu Drugi Pułk.

— Dokończenie na str. 7-ej

D R O G A D O

ALEKSANDER FADIEJEW



Jesienią zeszłego roku usunęliśmy z partii Mikołaja Kamkowa, z zawodu leśnika. Ojciec jego, Iwan Stepanowicz Kamkow był niedry bogaty, posiadał duży folwark i dom sąsiadujący z naszą wioską Utesną, gdzie teraz znajduje się kolchoz „Czerwony partyzant”. Folwark odebraliśmy im dopiero w 1922 roku, kiedy już w naszym kraju umocniła się władza radziecka. A co do stafia, tośmy go nie ruszyli dlatego, że w czasie wojny przechowywał w swoim domu partyzantów i miał w okolicy sławę wykształconego leśnika.

Usunęliśmy Mikołaja Kamkowa za pijacką awanturę w kolchozie. Przyjechał sobie jesienią na urlop do ojca — ojciec jeszcze teraz jest leśniczym u nas — i trafił akurat na uruczysty podział dochodu. Wtedy właśnie stała się z nim ta heca. Kiedy zaczęto badać całą historię, wezwano także nas jako członków partii pochodzących ze wsi Utesna, rozrzuconych po całym kraju. Wszycyśmy bardzo dobrze znali Mikołaja z czasów młodości, i mieliśmy do niego zaufanie, a po zakonczeniu wojny domowej straciliśmy go z oczu. I dopiero teraz przekonaliśmy się, że dawniej także nie wolno było mu ufać, i nie mogliśmy wyjść z podziwu, jak to mogło się stać, żeśmy się wówczas tak mylili w sądach o ludziach i że podobny człowiek trzymał się do tej pory w partii.

Dawniej nie mieliśmy dostępu do nauki. Dlatego bardzo nam to pochobiebiało, jako chłopiskim dzieciom, że syn znanego w całej okolicy wykształconego pana, Mikołajek Kamkow, zadaje się i przyjaźni z nami.

Kiedy tylko przyjechał na wakacje ze szkoły, zaraz strzeba na ramię — i do nas. A potem to już całe tygodnie i miesiące nie tylko z nami. Razem na pole, razem na ryby, razem na polowanie, na potanocówki. Jemy z jednej miski i ubrania nosimy takie same on, jak i my.

W święta urządzaliśmy czasami bojki — kto kogo — jedna strona wsi była biedniacka, a druga — sama bogacie, a Mikołajek zawsze, jak pamiętam, był z nami, biedniackami. W młodych latach był tak samo wielki, mocno zbudowany; brwi miał gęste, głos tubalny. Zdarzało się, że kładł po kolej wszystkich, dopóki nie zmierzył się z synem marynarza, Aleksaszką Czykinem. Był to chłopak zrzeczny, szybki, i to tak na oko jak na bary i w dodatku prawowity zwierzę. Jeśli już uderzył, to sprawił się tak chwacko, że bił w najgorsze miejsca i to bez utości. Bili się prawie całą godzinę, a potem Kamkow pierwszy wyciągnął rękę.
— Dostyc. — Szacunek — powiedział.

— O to to, paniczku! — śmiał się Aleksaszkę. — Zeby tylko z honorem, to ja sam nie powiem nie.

Był jeszcze u nas taki jeden chłopak Anton Guriew, włościanin, co to jeszcze z czasów carskich nie uznawał ani Boga, ani popowa. Nie miał on żadnego bytłatka, ani nawet ptaka — chałupa jego była ledwo pokryta słomą, bez żadnych przybudówek i bez ogrodzenia, stała sama jedyna na brzegu wsi.

Nie uznawał żadnej pracy: „Co do tego jednego — mówię — zgadzam się z panem naszym Jezusem Chrystusem — i całym miesiącami nie było go we wsi. Tylko żona jego bez jednej kropki krwi w twarzy pracowała sama, pracowała i u Czykinow i u Kamkowow, a jego dzieci — była ich hurma — zebrali.

Anton Guriew wrócił sobie nieraz ze swojej włościaniny, chodził po wsi prawie jak go Bóg stworzył, szyi prawie nie miał, głowa leżała mu na ramionach, tułów krótki, nogi długie, na twarzy rude kudy, mina ważna — i nic tylko białkoce:

— Zbliża się wielkie zrównanie ludzi. Gotujcie się.

— Antosza, jakie tam zrównanie?
— Będziemy dzieje po równo — jaństwo ziemskich wodarzy.

— Albo to starczy dla wszystkich? Idź ty, ludzi na ziemi tyle co gwiazd na niebie.

— Na odzienie, na wyżywienie starczy, a potem to już będziemy wszyscy żyć po biedniacku — mówił z godnością.

Mikołajek Kamkow przyjaźnił się najbardziej właśnie z tym Antoszką Guriewem, często nawet spędzał u niego noc na stryżku pod okapem. Nieraz sobie podpił i siedzieli spuściszczy nogi za prog. Antoszka coś tam plotł, a Kamkow obejmował go i śpiewał tonąc we złącz:

O Rosjo, Rosjo nieszczęśliwa,
Dla mnie twe pieśni poruwiaste
I twoje nędzne chaty krzywe
To pierwsze łzy miłości czystej.

A wioska nasza była istotnie uboga! Dwadzieście worst od kolei, wokół tajga i tajga, trzęsawiska. Całymi miesiącami siedzieliśmy bez nędzy i bez soli.

W święto kto wracał pod wieczór z polowania i zbliżał się do promu, to słyszał, jak za rzeką, ponad wsią stoi jeden wielki jęk — tylu pijaków.

Nawet dzieciaki — tak po pięć lat — lubily bawić się w pijaków. Wiele było u nas we wsi Utesna niemilosiernej nędzy — Blinkowowie, Komlewowie, Ancziszki... A czy by to kto wtedy zliczył nas wszystkich, przeznaczonych na ciężką pracę i na złe, gorzkie życie. Ale mieliśmy i my także swoją tajemną dumę, że oto własnymi naszymi rękami zbudowaliśmy tę drogę, rozciągnęli te wielgachne lasy, zaorali tę gorzką ziemię, wybili niezliczoną ilość dzikiego zwierza, a zachowali sumienie i żar w sercu.

I kiedy pierwszy nasz żołnierz, polszewicy, wrócił z frontu niemieckiego, zrozumieliśmy, że zdobywamy sobie lepszą dolę na świecie.

Podczas wojny domowej większa część naszej wsi poszła do partyzantki. Poszliśmy my wszyscy — Blinkowowie, Komlewowie, Ancziszki — jest nas bez liku. Poszedł i Anton Guriew. Poszedł z nami także Mikołaj Kamkow. Dopiero teraz, w czasie badania sprawy Kamkowa przypomnieliśmy sobie, my, starzy żołnierze, że i Guriew i Kamkow mieli już wtedy swoje wysoki.

Nieraz, kiedy zajęliśmy jakiś dwór, młyn albo stację, Guriew krzyczał: — Spallic wszystko, do stu diabłów!

— Po co palić? — mówią mu inni. — Wszystko to dzieło naszych rąk, to wszystko nasze. Mikołaju, ty, jako człowiek wykształcony po stronie człowiek pracującego, wytłumacz mu to.

A Kamkow zamyśla się i mówi: — A może on ma rację? Po co nam to wszystko? Ja — powiedziałam — sam doświadczyłem, czym jest bogactwo i ile od niego szkody na świecie.

Wojna domowa wielu z nas wyprowadziła na właściwą drogę. Kogo by nie przypomnieć z dobrych wojskowych towarzyszy — przyjaciel i gdzie oni teraz — to już wszystko wielcy działacze, znani, wykształceni. Kolchoz zakładali chłopcy już bez nas, a walczyli o niego nie gorzej niż my na froncie wojny domowej. Po wygnaniu Czikinow długo jeszcze macili życie ich zausznicy.

A ileż mieliśmy zgryzoty, zanim nauczyliśmy się w kolchozie pracować na siebie i na innych! Przecież tyle jadu dawnych czasów zostało jeszcze w sercu każdego.

A ktoż okazał się namiętnym wrogiem naszego kolchozu „Czerwony partyzant”? Właśnie Anton Guriew! A może w tym czasie porósł już w gospodarstwie piorka i miał już o co się bać, co tracić? Nie, jego chałupa stała ciągle taka sama i tak jak przedtem nie uznawał żadnej pracy, a do tego pozostał sam, jak ten palec. Starsi synowie i córki wyrzekli się go i odeszli do kolchozu, a żona męczennika umarła, więc wziął sobie nie wiadomo skąd dawną kulaczkę — wdowę z czworgiem dzieci. Broda sterząca kłakami jak u psa posiwała mu, a w oczach pojawiła się złość. Po całych dniach chodził od chałupy do chałupy i ni by to żartował.

— Wszystkiego dobrego. Pracujcie, pracujcie za radziecką władzę! Władzę zrobili, a w brzech nie włożyli?

W pierwszych ciężkich latach byli tacy, co go słuchali, a potem rzeczy wzięły inny obrót. Z tych samych artykułów, które w dawnych czasach przynosiły nam zawsze nieszczęście, wynikało dla kolchozu nowe bogactwo — miód lipowy z naszych niezmierzonych lasów i ryż z naszych błot, ciężki i biały jak cukier. I zaraz lud poweselał. Wypadło akurat tak, że zakonczono budowę szosy, która powiązała naszą wieś Utesną z koleją i z morzem. I nasza czarna mokra ziemia zaczęła czynić cuda.

Az tu przedpadł jakoś Anton Guriew na miesiąc, a kiedy wrócił, wszyscy az rozdziawili gęby: myśmy już tu wybudowali szkołę dziesięciociołatkę, a on, włościanin, przywiózł z sobą popa.

— Skoro już uwierzyłem w Boga — powiada — mam prawo otworzyć cerkiew (cerkiew stała już osiem lat zabita deskami). A służę bożego przywiózłem wam gwoli sumienia, żebyście żyli według sumienia. Usłyszycie tutaj z jego ust, jakiego to braterstwa nauczał pan nasz Jezus Chrystus.

Ale pop zaraz drugiego dnia uciekł. Guriew go oszukał i powiedział, że przyszedł do niego z wezwaniem wiernych, a wierni odpowiedzieli, że Bóg — o, Bóg i tak wszystko widzi i słyszy.

W 34 roku nasz kolchoz osiągnął trzecie miejsce w całym rejonie. I nagle zabłysły na cały kraj imiona naszych ludzi. I nie to było takie wspaniałe, że znowu zaczęło być głośno o naszych wojakach, ale to, że nowi ludzie wyszli z najtajniejszych głębin, z nikomu nieznanych rodów, które na wsi nie sławily się niczym ani dawniej, ani w czasie wojny domowej, ani później.

Stary Maksym Dmitriewicz Gorczenko, o którym nawet w tamte dawne czasy nie każdy wiedział, czy jeszcze żyje, czy już umarł, starzec, który całe życie przesiadział na swoim gospodarstwie wśród dziesięciu przegłębionych konyt, nagle wydo-

*) Czadony — pogardliwa nazwa dla podowitych sybiraków.

K O M U N I Z M U

był straszliwą fłotą miodu z kolchozowego ulla i został mianowany inspektorem nad całą pasieką. Agafia Siemionowna Blochina, brzydka — takiego nazwiska nie slyszalem nawet dawnymi czasy — zebrała ze swego działu na bagnie tyle cętnarów dobrego ryżu, że naukowo w zaden sposób nie można było tego uzasadnić. A trzeba jeszcze wiedzieć, że zanim to się stało, uciekla z dzieckiem przy piersi od męża, wałkonia i pijaka. A tyle miała mleka w swej potężnej pierści, że w ciągu tego roku wykarmiła nie tylko swoje dziecko, ale jeszcze dziecko chorej sąsiadki.

A lłuż to podobnych wielkich i małych, pojawiają się tu u nas tego roku. A potem to już zaczęły wyraść ludzie po prostu piękni. Cate ich piękno polega na tym, że piękni są wobec siebie przez swą pracę i rozum. I niczego się już nie lekają na świecie.

Ale i na zewnątrz życie stało się piękniejsze. Nasze dziewczęta zaczęły nosić buciki na wysokich obcasach. Zaczęły przychodzić do nas na wiesz ubrania z krawatami, rowery, patefony, radia, książki, zabawki dla dzieci — to wszystko, co nie jest w życiu najważniejsze, ale co życie ulepsza.

Wtedy to Anton Guriew zaśpiewał na inną nutę:
— Acha — powiada — wzbogaciliście się, kochani kolchoźnicy? Zapomnieliście o równości i braterstwie? Wszyscy łzie — powiada — powinni być równi, a co wy robicie? Wyście, o proszę, wlezi w marynarki, a ja chodzę w podartych portkach!

— A kto ci winien — mówią mu — to pracuj razem z nami, a otrzymasz tyle, ile będzie się należało według pracy.

Ale jemu aż zęby latają ze złości. Zaczęło na niego patrzeć jak na wariatka.

I oto w jesieni 35 roku, w roku najbardziej dla nas urodzajnym, zjawił się we wsi Mikotaj Kamkow. Oj, dawno nie widzieliśmy go, pracował przez cały ten czas gdzieś nie w naszej okolicy. Wiedzieliśmy wszyscy, że należy do partii, że pracuje w leśnictwie i obraziliśmy się o to, że nie zatrzymał się u żadnego z kolchozników, nie zamieszkał nawet u ojca, ale po starej przyjaźni wleził na stryszek do Antona Guriewa.

Co ich łączyło to nie wiadomo. Dość, że przez całe dni aż do święta chodzili mocno pod gazem. Kamkow był cały spuchnięty i wyglądał jak ktoś zupełnie załamany.

Przewodniczącym naszego kolchozu, Piotr Fiodorowicz Blinow, wysoki chłop silnej kompleksji, o pięknej twarzy, mądry i po prostu opętany przy pracy — w kochozie nosisi nazwisko cara Piotra — spotkał ich przypadkiem na drodze.

— Mikotaju Iwanowiczu — powiada — co się z tobą dzieje? Może co zgubiłeś?

A ten spojrzal na niego spodoba i powiada:

— Szukam swojej młodości, nie widziałeś jej?

— Bracie — roześmiał się car Piotr — każdy ma tyle lat, na ile się czuje. Jestem chyba starszy od ciebie, ale wciąż młodziej, a z ciebie, proszę, jaki się zrobił zgrzybiały staruszek!

— Tak, właśnie widzę, porządnie obrośliście tu wszyscy tłuszczem.

Ta odpowiedź dotknęła cara Piotra.

— Jak raczysz to rozumieć?

— A tak sobie. Ty także przyszywasz sobie na patefonie?

— No to co? U twojej mamy nieboszczki grało się nawet na fortepianie, tylko że nas, chłopów, tam nie puszczało!

— Słyszalesz? — Kamkow zapytał Guriewa.

Ten posunął się jeszcze dalej.

— Oni — powiada — dusze swoje na te sztuczki przegrali!

— Nie — powiada car Piotr, przewodniczący naszego kolchozu — nasze dusze nie są do wygrania, nie ma na nie ceny. Ale wamiast duszy — wódka szumi we łbach... Poszlibyście spać.

Na obiad kolchozowy przyszedł Kamkow bez Guriewa już zupełnie pijany.

Na początku — jak zwykle bywa — rozdawano premie, były przemożny i wszyscy byli bardzo podnieceni. Ale potem naród już sobie podjadł, podpił i zaczęły się tańce, zrobił się weselo. Kamkow też widocznie złapał jakąś zbywającą szklankę i jakby coś się z niego wtedy wyrwało. Wstał nad stołem barczysty z dzikimi oczami, z włosami rozczochanymi jak u niedźwiedzia, i zaczął krzyknąć:

— Tańczycie sobie, a Antona Guriewa trzymacie w kurnej chałupie? W kurnej chałupie trzymacie swoje chłopskie sumienie!

Z początku nikt go jakoś nie rozumiał, każdy myślał po prostu — ot, krzyczy pijany. Ale potem stary Maksym Dmitriew Gorenko, który siedział koto niego, obraził się.

— Jak ci nie wstyd — powiada — Mikotaju Iwanowiczu, któż go trzymają w kurnej chałupie? Sam siedzi!

A jego dusza już dawno, dawno skulaczyla, jeśli nie gorzej. Jaką to

Dokończenie na str. 7-ej

BORYS POLEWOJ



ulica morską



Pobieda" była nowitką, prosto z fabryki, niedotarta jeszcze. Jechaliśmy też, jak się wyraził kierowca, z szybkością „dziewięty dzień dziesiątą wiorstę”; szofer aż zębami zgrzytał z irytacji, kiedy wymijały go nawet stare ciężarówki kolchozowe turkoczek rozklekotanymi karoseriami.

Za szybą z dręczącą monotonią, jak we śnie ciągnął się bez końca jednostajny, równy step polyskującym gdzieś w dali siwym szronem. Ale ruch panował tu taki, że nad stępem unosił się kurz niczym szara ciężka mgła. Wszystko dookoła — i potężne słupy linii wysokiego napięcia biegnące wzdłuż drogi, i jej zwisające nisko przewody, i trawa przydrożna, i nawet suszy stojące na swoich kopczykach i przyglądające się obojętnie nieprzerwanemu potokowi samochodów — wszystko to pokryte było zamżową warstwą kurzu. Tu i ówdzie kurz ten zaczynał się nagle skręcać w błękitną trawę, wznosił się w górę i wirował, sięgając nisko zwisającego błękitnego nieba, po czym rozpływał się również w tej samej mglistej kurzuwie.

Kurz unosił się nawet wtedy, gdy zapadł chłodny zmierzch jesienny. Światło reflektorów grzeło w jego szarych przewalających się kłębach. Samochody trąbiły teraz wściekle. Jazda stawała się niebezpieczna, więc szofer zaproponował, by skrę-

cić na noc do „pewnego znajomego chutoru”, który słynie ze swego przewodniczącego kolchozu; jest to człowiek energiczny, pełen inicjatywy — a ponadto „wielce laskawy dla ludzi z budowy Kanału Wołga—Don”. Gdzieś, przy widocznym dla niego tylko znaku przydrożnym szofer skręcił z gościńca na ścieżkę stepową. Wyrwaliśmy się z kurzu i w godzinie później ujrzelśmy sznur białych przylutnych świateł elektrycznych i szeroko rozrzucone, zabudowania chutoru.

Samochód zatrzymał się przed nowym obszernym niewysokim domem zarządu kolchozowego. Mocno zapoziłane okna były jasno oświetlone, a za nimi rysowały się słończone sylwetki ludzi. Z otwartego lufelika niczym z kominu buchał sinawy dym machorki. Szofer wbiegł do domu i po chwili ukazał się na ganku z krępym mężczyzną w wojskowej bluzie i blyszczących butach. Wycierając chustką ogoloną głowę mężczyzna ten podszedł do samochodu, przywitał się i powiedział wesółym zachrypniętym basem:

— Jedźcie prosto do mojej żony. Udziele jej zaraz przez telefon wyzerpujących instrukcji. Przyjmie was... A ja, wybaczenie, bardzo jestem zajęty; mamy właśnie odczyt o technice nawadniania — przyjechał prelegent z Moskwy.

I zwracając się do szofera dodał:

— A ty, gwardzisto, marsrutę pamiętasz? Ot tu ulica Morska, a tam — Nadbrzeżna. A więc, Nadbrzeżna 3. Ganek malowany olejną farbą... to mój. Zadzwonię do Horpyny. Zwinnie się mięciem. Bardzo jest ruchliwa.

Nie udało się jednak popisać gospodyni, która okazała się istotnie bardzo gościnną i roztopną. Powolna jazda przez zakurzony step strasznie nas zmordowała, więc otrzepaliśmy się z kurzu i umywszy, poszliśmy od razu do przeznaczonych dla nas pokojów, gdzie gospodyni przygotowała już postania, i wyciągaliśmy się z przyjemnością na chłodnych czystych prześcierałach.

Nareszcie więc, po męczącej włożdże przez zakurzony bezwodny step dotarliśmy do wody! I chociaż nie udało się obejrzeć po ciemku okolicy, same nazwy: ulica Morska, czy Nadbrzeżna, w których jakby się wyczuwało wilgotny chłodny walek, plusk wody i szelest nadbrzeżnych szuwarów, przyjemnie pieściły ucho.

Troskliwa gospodyni osłoniła lampę haftowanym ręcznikiem. W obszernym pokoju, którego ściany pachniały jeszcze żywicą, zapanował przyjemny półmrok; dziwnie i zbyt wyraźnie rysowały się w nim nagle koronkowych firanek jakieś rośliny sterzące w niewielkich doniczkach — zamiast kwiatów wisiły na nich twarde i jakby włókniste owoce. Rośliny te wyglądały tu, w domu bardzo niezwykle i trudno było przy tym wyzbyć się myśli, że się je już gdzieś, kiedyś widziało. Ale kiedy, gdzie i u kogo — nie mogliśmy sobie w zaden sposób przypomnieć.

Już przez sen słyszeliśmy, jak wrócił do domu przewodniczący, jak chodził na palcach, skrzypiąc butami, jak delikatnym półszepcetem robił żonie wyrzuty, że pozwoliła „Judziom z kanału” położyć się bez kłocji. Starając się nie hałasować, rozmawiał potem przez telefon, zachrypniętym basem dziękował komus tonem spiskowca za dobrego prelegenta i długo się targował, żeby go jeszcze zostawił „choćby na tydzień, na pięć dni, no, choćby na jeden dzień”. Kiedy przewodniczący uspokoił się i położył zapewne spać, dwa młode głosy, męski i kobiecy, zaczęły się nagle spierać, co jest korzystniejsze — ryż czy bawelna; spór był gorący i hałaśliwy, ale przewodniczący wciąż tym samym konspiracyjnym szepcetem położył mu kres:

— Cicho, spać!

Wszystko razem: niezwykle nazwy ulic w tej stepowej stacji, rozmowa telefoniczna przewodniczącego, ten spór i dziwne kwiaty na oknie — zlało się w ogólne wrażenie czegoś nowego, niezwykłego. Obudziłem się z tym właśnie uczuciem i dowiedziałem się zaraz, że dziwne rośliny na oknie — to krzewy różnych gatunków bawelny; na dole jeszcze kwitną, ale na gorze dzwigają już dojrzałe pękające torebki. Za koronkową firanką na oknie wiatr poruszał pierzastymi liśćmi młodych akacji, ale za tymi drzewkami zamiast rzeki lub jeziora, które powinniśmy ujrzeć z Nadbrzeżnej, rozpostierał się wciąż ten sam szary, suchy, nagi step; widać go było daleko ze wzgórza, na którym znajdował się chutor.

W sąsiednim pokoju czekał nas suto zastawiony stół przykryty czystą serwetą. Gospodarza nie było już jednak w domu. Zona wysoka, staczała Kozaczka, ubrana jak nauczycielka lub lekarka, ale w białej perkalowej chustce, zawiązanej pod brodę, oświadczyła, że ma jeszcze o świecie powiół swoją brzewką moskiewskiego gościa w step, na pola, gdzie na przyszłą wiosnę kolchoz zamierza zasiać na nawodnionych działkach bawelnę i ryż. Opowiedziała, że kolchoźnicy robili doświadczania już w tym roku i cho-

ciaż z wodą wciąż jest jeszcze bardzo trudno — trzeba ją pompować ze studzien w wielkiej głębokości — doświadczania się udaly i wszyscy teraz marzą, by nowe uprawy tak samo zasylny jak winorośl, którą kolchoz przeprowadzając się z zatopianej strefy, troskliwie przeniósł na nowe miejsce.

— A dlaczego tak trudno z wodą? — Jak to? Do Donu — żeby nie skłamać — jest teraz ze trzydzieści kilometrów. Pompujemy ze studni, ale jaka to woda! Słona, twarda, Nawet bydlę się od niej odwraca.

— No, ale ulice nazywają się u was Nadbrzeżna, Morska?

Gospodyni uśmiechnęła się lekko, blysnawszy mocnymi, białymi jak perły zębami.

— No cóż, że się tak nazywają. Nie nadaremnie je tak nazwano. Tak właśnie będzie. Wiosną tu, do samego naszego domu przyjdzie Morze Cymiańskie, będzie więc Nadbrzeżna... a Morska prowadzić będzie do przystani nad samo morze. A jakże! Kiedyśmy się zeszedł wiosny przeprowadził ze starego miejsca i zaczęli tu budować, spirano się w zarządzie, jak nazwać ulice. Dawniej mieliśmy raptem jedną ulicę — ciągnęła się jak wąż wzdłuż Donu, a teraz rozbudowaliśmy się tak szeroko — i ulice, i żułki, i plac. Mamy nawet bulwar: chociaż na razie kokosz nie znajduje tam cienia, żeby schować kurczaka, ale nazwalimy bulwarem. Posadziliśmy drzewa: akacje, wierzby, wiśnie... Rosną.

Umilkła. Jej życzne ręce spokojnie i przy tym jakos bardzo troskliwie podsuwały gościom jadło, nakładaly co smaczniejsze kaski, zmieniały talerze.

— A do starych miejsc nie tęsknicie?

Gospodyni westchnęła.

— Prawdę mówiąc, tęsknię. Nie dziwnie, urodziłam się tam i wyrosłam. Leżąc tam pochowani moi dziadkowie i pradziadowie, i chutor mieliśmy ładny, cały w zieleni... Co tu gadać, nawet starą gruszę zał ścinać! Ale jej z sobą wziąć nie można. No, maż mój i wielu innych — ci już o starym miejscu zapomnieli.

W głowie im teraz tylko bawelna i ryż. Patrzaj przed siebie. Nie mają czasu na ogądanie się wstecz. Spierali się wczoraj do późnej nocy, co lepiej hodować. Jedni krzyczą: że ryż korzystniejszy, a drudzy, że bawelna bardziej potrzebna państwu. Mój przyszedł wczoraj po pierwszwej w nocy, a młodzi jeszcze później. I jeszcze, widać, nie ochłonęli, bo zaczęli nocą dyskutować, póki ich wreszcie ojciec nie umygotwał. Starych miejsc nawet nie wspominają. Dla nich to już dno morskie.

Kobieta postawiła na stole talerz z winogronami. Zwisały też ciężkie, dojrzałe, ciemnognane grona polyskujące jeszcze poranną rosą.

— To nasze słynne winogrona... Jedźcie! — Gospodyni uśmiechnęła się do jakichś swych myśli i przestraszywszy się pewnie, żeby goście źle sobie nie wytlumaczyli jej uśmiechu, czym przedtę objaśniła: — Powiadacie, dlaczego ulica Morska, a wiecie, o co się u nas ludzie spreczają: czy nie zmienić starej nazwy chutoru. Komsomoley wymyśliłi nową — Pęciomorsk... Ze niby będą się tu zatrzymywały storki z pięciu mórz. Początkowo Kozacy się z nich śmieili, ale teraz nawet mój ni z tego, ni z owego wrócili w rozmowie: „No co, Horpyno, i.e.że brzmi ten Pęciomorsk?”

Zadzwonił telefon. Gospodyni zdjęła słuchawkę i zsunęła chustkę z ucha.

— Ależ nie, jeszcze są... Tak, jedzą śniadanie... Albo nie wiem, czy co? Będzie mnie tu uczył... Powiem, powiem. Zajmuj się swoimi sprawami, a gości podejmować — to już rzecz gospodyni.

Powiedziała słuchawkę.

— To mój dzwoni — niepokoi się, jak was podejmuję... Przylgnął całą duszą do tego waszego kanału i kiedy ktoś z budowy u nas nocuje, całkiem traci głowę. Dobrze, żeście wreszcie usnuli, bo zamęczyłyby was gadaniem. Wszystko musi wiedzieć o kanale.

W pół godziny później odjechał. W żywych blaskach poranku ulica Morska ciągnęła się przed nami dwoma szerokimi rzędami wesółych domków, które jakby stały na palcach na swych murowanych fundamentach. Na środku tej głównej ulicy był obszerny plac, a wokół niego, zupełnie już jak w mieście, wznosiły się duże, ładne budynki: klub, zarząd kolchozowy, żłobek, apteka, Wzdłuż szerokiej chodnikowej strefy szereg smukłych drzewek, a spoza nowych niewysokich płotów wyglądały całkiem jeszcze młode ogródki.

Choćby wszystko to było pokryte wciąż tą samą zielonkową warstwą kurzu, a stary wozowódca rozwodził od domu do domu w umocowanej na starym samochodziku-cysternie na rządy jeszcze drogocenną tutaj wodę, nie trudno już było wyobrazić sobie, jak z Nadbrzeżnej odsoni się widok na lazurową przestrzeń wodną i po tej oto ulicy Morskiej jechał będąc samochody wioząc do przystani ładunki dla statków przybyłych z pięciu mórz żdźwieckich.

BENIAMIN KAWERIN



Spośród marynarzy, których poznałem w Północnej flocie, szczególnie zainteresował mnie kapitan Guramiszwili. Dziwny przypadek — opowiadałem o tym w szkicu „Starodawna przysięga” — zetknął nas ze sobą. Poczęliśmy się spotykać. Dowodząc flotylli statków patrolowych był on — rzecz jasna — bardzo zajęty. Lecz Gruzin zawsze znajduje czas dla przyjaciela.

Wczorami przesiadywałem w jego malutkiej kajucie, rozmawialiśmy i palił. Niekiedy milczeliśmy paląc — to też było przyjemne. Spodobał mi się — była w nim jakaś uprzejmość, która teraz zdawała się lekko statomodna. Pykając spokojnie swoją fajeczkę opowiadał nieprawdopodobne historie, które przed wojną mogły się tylko przysnić.

Pierwszy raz widziałem człowieka, tak subtelnie rozumiejącego wojnę. Poznał ją na lądzie i na morzu, w błotach pińskich i w górach kopa podbiegunowego. Mówił o niej ze ścisłością i beznamienię — całkiem otwarcie.

Był człowiekiem wojny — w pełnym tego słowa znaczeniu. Wydawało się, że nawet nie pragnął myśleć o tym, co będzie robił po zwycięstwie, któremu poświęcał wszystkie swe sily. Przy jakiejś okazji spytałem go o tą sprawę dodając — zdaje mi się — że to zupełnie naturalne: ludzie tworzą czują w dłoniach broń, co dzień, co godzina zaglądają śmierci w twarz, nie myślą o przyszłości. Nie ma na to ani czasu, ani ochoty.

— Mylicie się — odparł. Myślą, i to nawet bardzo. Co to znaczy przyszłość? Każdy ma swoje nadzieje i plany. Lecz dla wszystkich stanowi to zwycięstwo, powrót do domu, wypoczynek, nowe życie. Przyszłość będzie piękna — dodał ze wzruszeniem. Po tym wszystkim co doświadczył naród, nie może być inaczej. Naród wie o tym i trzeci się o przyszłość — być może — instynktownie. Jeśli chcecie, opowiem wam pewną historię. Osadźcie sami, czy mam rację...

Było to wiosną 1942 roku: Walczyliśmy na lądzie bronią P., starego miasteczka z zapuszczonejmi sadami, zagmatwanymi uliczkami obsypanymi w te dni różowobiałym kwiecieniem czeremchy. Przez jedną z tych uliczek — Dolno-zamkową — przebiegała linia frontu. Śrud ruin twierdzy z czasów Stefana Batorego, na wschodnim jej skraju był mój KP — dowodziłem oddziałem. I oto pewnego razu, nad ranem, gdy nie otrząsnąwszy się jeszcze z krotkiego, niespokojnego snu siedziałem pod mapą oznaczającą kreskami domy, z których Niemcy zostali wyparci, przyprowadzono do mnie malutkiego staruszka w kapełuszu o szerokiej kryzje.

Siwy, białe, w długim płaszczu przysypanym tynkiem, nieogolony uczynił na mnie wrażenie człowieka niespełna rozumu. Lecz tak źle nie było. Przeciwnie, bardzo dokładnie objaśnił mi, kto on zacił i co za sprawa, „z którą” — rzekł grzeźnie — osmieliłem się was niepokoić.

Był to kierownik tutejszego muzeum miejskiego, trafem bardzo dobrego, o którym słyszałem na długo przed wybuchem wojny.

Nazywam się Pierczychin — powiada — i jestem potomkiem tych kupców Pierczychinów, w których zabytkowym domu urządzono muzeum.

Przedstawiwszy się w ten sposób zaczął wykladać swą sprawę.

— W muzeum — wyjaśnił — zostało sporo cennych dzieł sztuki. Wśród nich jest jedno bezcenne arcydzieło, które należy koniecznie wywieźć, ponieważ historia nie wybaczy nam nigdy, jeśli trafi ono do rąk barbarzyńców, jakimś są faszyści.

Spytałem go co to za arcydzieło. Odpowiedział, że ma na myśli obraz Tycjana „Przebudzenie wiosny”.

Tycjan w P! Już grzeźnie chciałem wyprowadzić tego potomka Pierczychinów, lecz ten powstrzymał mnie.

— Wydaje się wam nieprawdopodobne — rzekł — iż obraz Tycjana może się znajdować w P., lecz P., jak wiadomo — leży niedaleko starej granicy. W roku 1918, gdy wystraszona burżuazja uciekała do krajów kapitalistycznych, dzieła sztuki, które wywoziła, odbierano na granicy i przekazywano do muzeum. Rzecz jasna, do Tycjana pretendował Leningrad. Lecz ja zaprotestowałem i nieboszczyk Łunacarski wziął moją stronę, wyrażając swój sąd w znanych słowach: „Malutkie miasteczka mają prawo do wielkiej sztuki”.

Wyobraźcie sobie warunki, w jakich odbywała się ta rozmowa. Niemcy rozpoczęli już swój metodyczny obstrzał z czołgów, które tym razem podjechały do nas bardzo blisko; grudy ziemi, odłamki kamieni wpadały do schronu, a malutki grzyb w płaszczu o długich połach cytujący dawnych i nowych autorów spokojnie opowiadał o Tycjanie.

Zamyśliłem się. Ostatecznie nie była to rzecz niemożliwa. Jak raz w przeddzień lekarz nasz prosił mnie, abym poszła kogośkolwiek po lekarstwa, które tak samo jak i Tycjan zostały u Niemców. Lekarstw potrzebowałyśmy nie mniej niż Tycjan! Gdyby za jednym zamachem wziąć lekarstwa i Tycjana!

Wiedziałem lejtanta Norkina z oddziału zwiadowców. Znałem go jeszcze z Chanko. Był to leningradczyk, ze szkoły Frunzego — czarny, niewielkiego wzrostu, z wyglądu mamin synek, a w rzeczywistości świetny i bystry zwiadowca. Składało się szczęśliwie, Norkin malował znakomicie — któż inny powinien wyrwać z opałów nieśmiertelnego Tycjana?

W nocy, zabrawszy kierownika Muzeum, który kategorycznie odmówił zamiany szerokoskrzydłego kapelusza na hełm, lejtant odjechał zdobywczym autem na linię frontu. Nad ranem wrócił — lekko zakłopotany.

Przywiózł lekarstwa i Tycjana. Jednakże kierownik muzeum, niestety, pozostał w P. na zawsze.

— Okazało się, że obraz jest u niego w domu — zameldował lejtant.

Podjechaliśmy i wzięliśmy go. Tymczasem Pierczychin zaczął wycią-

gać jeszcze jakieś swoje rupiecie i stuknęli go. Tak że z powrotem trzeba już było wracać odstrzeliwując się.

Miałem przepiękny niemiecki pistolet. Zdjąłem go i oddałem lejtantowi. Plakietkę z napisem: „Za wzorowe wypełnienie zadania bojowego” — zamówiliśmy po sześciu miesiącach w Moskwie.

Wielkie płótno, zwinięte w rulon, leżało w aucie wśród bandażów, spirytusu, waty i pudełek streptocytu. Rozwinęliśmy je i aż stęknęliśmy. Niech to diabli! — jakie to było dobre: w ogrodzie, pod kwiatnymi jabłoniami stały wielkie stoły, na których leżały sterty mięsniwa, chleba i ptactwa. Chłopi i chłopki śpiewali w tanecznym korowodzie weseli, spoceni, w świątecznych, różnobarwnych strojach. Z boku, przy beczkach otoczonych pochodniami, żołnierz w obrzeczonych botfortach pił wino i czerwona struga lała się na jego skorzany kaftan. Na drzwiach wisiły latarnie. To była wiejska zabawa, światło wiosny — przepyszna rzecz, od której weselej czyniło się na sercu. Chciało się człowiekowi przemieszać z tym tłumem, tańczyć i pić z antalka wino przekąszając kawalkiem chleba i główką cebuli.

W końcu maja porzuciliśmy P. Odchodząc — jak się to mówi — „galiśmy bobu” Niemcom — nie darmo w rozkazach dziennych dowódcy ich korpusu generał Segrejt obiecywał za każdego zabitego marynarza tygodniowy, a za żywego — dwutygodniowy urlop. Trzeba było przebiec się do swoich przez bieżniskie lasy i borszczewskie błota.

Nie będę szczegółowo opowiadał o tym marszu — pisały o nim w swoim czasie gazety. Wśród walk przeszliśmy tysiąc kilometrów. Nie było chleba, piekliśmy koninę przy ogniskach. Jedliśmy też surową, gdy nie wolno było rozpałać ognia. Las, niestety, był jeszcze pusty. Ani grzybow, ani jagód.

Lecz wróćmy do Tycjana.

Był to tylko kawalek płótna, który dla nas — można rzec — do niczego nie był przydatny. Nie można go było zjeść, ani z niego wystrzelć. Póki jeszcze mieliśmy konie, Tycjana przywiązywano do siodła. Zdaliśmy konie i należało go teraz nieść na rękach — diabelnie niewygodnie. Chłopy kęli. No a co, jeśli się po prostu rzuci w lesie to ciężkie płótno, na którym wymalowani byli jacyś tańczący ludzie?

I oto pewnego razu lejtant Norkin rozwiązał obraz i pokazał go marynarzom. Co to było! Mój oddział składał się z prostych ludzi, mało kto z nich slyszal przedtem o Tycjanie. I w te dni sztuka nie była nam w głowie. Lecz jakby światło padło na surowe, wychudzone twarze. Wszystko — zdawałoby się — znikło: głód, brud, śmiertelne zmęczenie, niebezpieczeństwo kryjące się za każdym krzakiem. Przed nami było przepiękne życie, z jego zdrowiem i radością, które przepełniały tych szczęśliwych, tańczących ludzi.

Zupełnie jasne, że oni byli za naszą sprawą, że za naszą sprawą był i artysta, który namalował tego nieśmiertelnego wasatego żołnierza pijącego wino, i piękne dziewczęta prowadzące korowod taneczny, i przepyszne upolowane ptactwo, które my jeszcze będziemy jedli, choćby to miało być nie wiem jakim cudem.

Jeszcze ich zakosztujemy, do diabła! Napijemy się wina, zatańczymy pod jabłoniami, na których wisią latarnie. W bojowych autach przejeżdżamy ulicami Moskwy, i dziewczęta, nie gorzej od tych, które namalował artysta, spotkają nas z kwiatami, i wszędzie, gdzie rzucisz okiem, będą kwiaty i kwiaty. Pod przetrzymanymi sztandarami złożymy dowodzącemu ostatni raport — wojna zakończona, my zwyciężyliśmy!

Zdaje się, że lecutku popadłem w poezję. Lecz zapewniam was, że tak właśnie było. Nie sen, nie widziadło stanoło przed oczami zmęczonego żołnierza na postoju, w zastęglym lesie, po dwudziestopięciokilometrowym marszu na czczo — nie, właśnie ta myśl o przyszłości, realna jak bojowy rozkaz, który należy wypełnić bez względu na trudności.

Były to ciężkie czasy: Niemcy przesładowali nas, niejednokrotnie próbowali okrażyć, urządzali zasadzki. W oddziale byli ranni, nieśliśmy ich omal nie padając ze zmęczenia i wyczerpania. Lecz już nikomu nie przychodziło do głowy, aby wyzbyć się niewygodnego, ciężkiego rulonu płótna, które trzeba było owinąć w jedną z naszych nielicznych „płaszczpalatek”.

Powiedziałem, że było nam trudno. Lecz byłoby zapewne jeszcze trudniej, gdybyśmy nie mieli ze sobą tego obrazu. Pewnego razu przeprowadzając się przez Lesne, omal go nie zgubiliśmy. Marynarz, któremu polecono opiekę nad Tycjanem, został zabity. Obraz był jeszcze na lewym brzegu, kiedy oddział przeprowadził się już na prawy. Zgłosiło się trzech chłopców na ochotnika i pod dowództwem lejtanta Norkina wrócili po obraz.

Czterech ludzi pod osłoną słabego ognia przeprowadziło się w dziurawej łódce przez rzekę i natarło na Niemców. To był taki desant — jak to słowo rozumiel nas! Chłopczy!

Po dwóch godzinach wrócili z obrazem. Był co prawda przetrzeżony. Kula trafiła żołnierza w rękę, którą podnosił do ust kubek z winem, trafiła też w jedną z dziewcząt; kule przebiły i inne miejsce, ponieważ — jak już powiedziałem — obraz był zwinięty w rulon. Ale lejtant, który znał się na tych sprawach, rzekł, że w Moskwie znajdują się odpowiedni mistrzowie i swastok będzie wyglądało tak jak przedtem.

Jesienią dotarliśmy do swoich, niedaleko Tuły. Brodaci, na nogach mieliśmy łapcie i onuce z derek, a ja — ot, te skórzane spodnie... W nich zacząłem wojnę, w nich i skończyłem.

— A Tycjan? — spytałem, kiedy kapitan skończył swoje opowiadanie.

— Przywieźliśmy go do Moskwy — odparł — i cały pluton pracowników muzeum przybył, aby go odtransportować w bezpieczne miejsce. Trzeba dodać, że plutonem tym dowodził staruszek, który mi przypomniał biedaka Pierczychyna — taki sam grzyb w szeroko-skrzydłym kapeluszu. Ujrzawszy obraz zapłakał i rzekł do mnie: „Kapitanie, dokonaliście wielkiego czynu”. Nawiasem mówiąc, gdzieś się u mnie zachowało zdjęcie. Zanim przekazałmi Tycjana do muzeum, sfotografowaliśmy się z nim razem. Na pamiętkę.

Znalazł zdjęcie i pokazał mi je: marynarze z dłońmi przy daszkach czepake stali pod Tycjanem. Salutowali piękną przyszłość, wyobrażoną na obrazie przetrzeżonym jak bojowy sztandar.

Beniamin Kawerin

JAN BESTER

KOGO NIE WYBIERZEMY (I)

MARKSISTA Z SAMOZAPARCIA

Przed wojną był facet świętoszkim ponurym, byle organistę czule cmokał w mianiet. Zmienił się czasy — on też zmienił skórę i w biegu się przesiadł do innej furmanki.

O, dzisiaj marksista z niego w każdym calu, ba, nawet już wnosi „elementy twórcze“: tu krzyknie: hip - hurra, tam wsadzi znów paluch i w pierze porasta to dziwne pokurcze.

W teorii się czuje, jak rybka w jeziorze, powtarza cytaty, choć sam w nie nie wierzy. A czas nasz traktuje, jak zły dopust boży, przed którym się jednak ukorzyć należy.

Gdy coś mu smakuje, już bada zawzięcie (nie wolno odruchom dowieść ni chwili!) „Smakuje? To znaczy, że wpadłem w przęgiecie; jak łatwo się grzesznym od linii odchylił!“

Więc tropi we wszystkim przewiny i grzechy, choć sobie powinien przyznając najbardziej, bo skąd się inaczej spodziewać pociechy? Zna siebie, więc innych ma także w pogardzie.

On sądzi po sobie, że źle to co szczerze, więc płaski jak pluskwa i zwinny, jak plotka, szczeroci unika chcąc zrobić karierę, lecz nie wie, jak szybko wpadnie do spotka.

Podobnych okazów jest nie tak już wiele, co skórę, nie wnętrze, zmienili dla żarcia, lecz jeszcze gdzieś wygnana fotele barwiony marksista (sic!) z samozaparcia.

„NIE RÓB Z SIEBIE WOKULSKIEGO...“

Od 46 dni „Express Wieczorny“ rączy swoich czytelników, niezwykłą (jest w tej chwili rok 1952) ucztą literacką. Po długich miesiącach które wskazywały że niesławne tradycje trzeciorzędnej powieści brukowej należą już do zamierzonej przeszłości, że raz na zawsze straciły prawo obywatelstwa na łamach prasy i na półkach księgarskich, powieść A. Bahdaja pt. „Trzeci Turnus“ drukowana w chwili obecnej na łamach Expressu, stanowi alarmujący przykład recydywy tego „gatunku literackiego“. Zanim jednak pióro recenzentki podsumuje bilans „Trzeciego Turnusu“ ograniczymy się do zacytowania kilku fragmentów wybranych z jednego (powtarzamy jednego tylko) odcinka „Trzeciego Turnusu“, wydrukowanego w 208 numerze „Expressu Wieczornego“.

Kiedy posłaniec z kwiatami przyniósł do pensjonatu „Marzenie“ kosz kwiatów i stawia go przed osłupiałą ze zdumienia Haliną, „sam widok dobranej ze smakiem kwiatów przyniósł ją w czasy, o których już powoli zapomnieli“. O jakich czasach zapomnieli Halina, informuje nasz autor zaraz w trzecim zdaniu:

— „Jednak ten Janusz jest elegancki — myślała, patrząc na kosz azalii, i wędrując wyobraźnią w dawne dobre czasy, kiedy co tydzień zjawiał się u niej na Mazowieckiej posłaniec z kwiatami, „Cyklamem“. Zapomniała o wewnętrznym rozdarcie, które tak bardzo jej dokuczało, gdy konfrontowała swój własny światopogląd z wysportowaną i ogorzałą postacią Władka Mikulę Unosiła ją wonna fala, która z dala lśniła całą gamą barwnych wspomnień“.

W innym miejscu wysportowany i ogorzały „Mikula czuł, że krew znowu napływa mu do twarzy. Aż pieczę od wypieków. (podkreślenie moje). Owiadł nim uczucie zazdrości i gniewu. „Czyś z wariował, stary — szepnął mu wewnętrzny głos. — Nie daj się ponieść... Trzymaj się... Nie rób z siebie Wokulskiego“ — przypomniał sobie scenę z „Lalki“ i tak dalej, gdyby cytować podobne kwiatki, można by z małymi wyjątkami w całości przedrukować cytowany odcinek.

Powieść w odcinku jest cenną metodą popularyzacji naszej literatury. Wiele najcenniejszych dzieł ujrzało po raz pierwszy światło dzienne na łamach prasy. Ale kontynuować tę tradycję należy drukując najlepsze własne utwory. Parafrazując słowa autora „Trzeciego Turnusu“ kierujemy pod jego adresem gorący apel: „Nie daj się ponieść... Trzymaj się... Nie rób z siebie Marczyńskiego!“

Jerwit



Dokerzy w porcie.

Borys Taslitzky



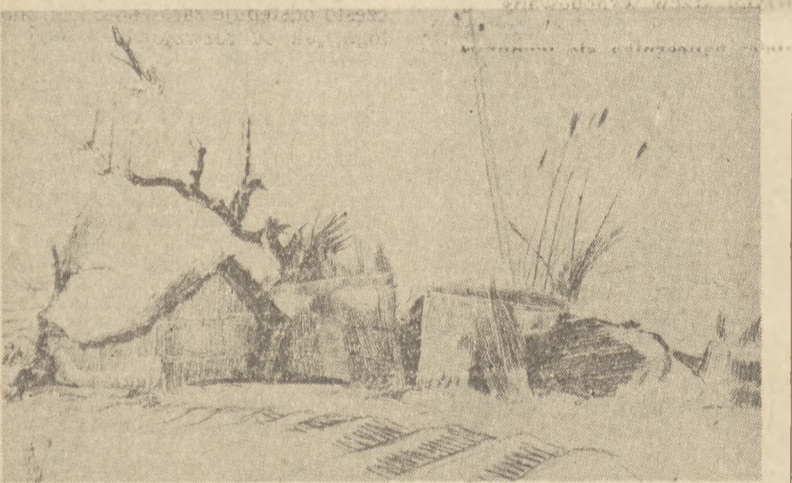
Dziewczynka z Algeru.

Mireille Mialhe



Ofiara masakry policyjnej w dn. 8 maja 1945 r.

Borys Taslitzky część, walki i nadziei.



Chatz arabska.

Mireille Mialhe

Buty — które grożą światu

XIX

Zjazd WKP(b) jest wydarzeniem tak wielkiej wagi, że nawet prasa kapitalistyczna musi o tym pisać. Burżuazyjne gazety piszą jak mogą, a jeśli nie mogą inaczej niż pisać — to nie ich wina. Ostatecznie trzeba przyznać, że świat oglądany przez zielony papier z popiersiem Waszyngtona zmienia swe proporcje. Pisze więc prasa burżuazyjna o XIX Zjeździe. Pisze m. i. „Glasgow Herald“. Jest bowiem i taka gazeta, wychodząca, jak sama nazwa wskazuje, w szkockim mieście Glasgow. Redaktorzy owego herolda miasta Glasgow są ludźmi ambitnymi i od dawna już walczącymi o palmę pierwszeństwa w wypisywaniu bzdur o ZSRR. Dotychczas jednak nie wiodło im się. Nie z powodu, brzo boże, braku gorliwości. Tylko konkurencja jest zbyt silna. Bo tu i koncernie nieboszczyka Hearsta i prasa Mc Cormicka i zachodnio - niemieckie gadzinówki. Jak tu konkurować z „Daily Mail-em“, czy chociażby z prasą socjalistów Jej Królewskiej Mości? Jednak redaktorzy „Glasgow Herald“ — i to im trzeba przyznać — nie upadali na duchu. „Przyjdzie kiedyś nasz wielki dzień“ — pocieszały się wzajemnie — „pokażemy jeszcze, że potrafimy pisać większe gupstwa niż inni“.

I oto przyszedł ich wielki dzień. Komentując wytyczne do nowego planu pięcioletniego, szkocki geniuś z „Glasgow Herald“ napisali,

że wytyczne te dowodzą, iż ZSRR przygotowuje się do wojny. Motywację zaś tego północno-atlantyckiego komentatora podali tak: uprawdźcie w ramach planu bolszewicy przewidują wzrost produkcji środków spożycia, ale to właśnie jest dowodem ich wojennych przygotowań, bowiem w projekcie planu mowa jest o zwiększeniu produkcji butów, buty zaś stanowią podstawę zaopatrzenia armii. BUTY! RADZIECKIE BUTY grożą światu inwazją. Redaktor „Glasgow Herald“ ma uporne sny. Sny mu się miliony radzieckich pantofli damskich, tych na francuskim obcasie i tych na słupku i półstłupku, miliony sandałów, półbutów, butów narcyjskich. Kosmos obuwia! I wszystko to cycha na jego biedne redaktorskie życie, wszystko to ma wojownicze miny, a niektórzy bućki nawet wysuwają mu przed samym nosem języki. Koszmar.

Rankiem redaktor zły zimnym potem, po dwóch większych whisky (bez wody sodowej), wrócił do redakcji. Po drodze spotkał szkockich bezrobotnych, którzy nie wszyscy mieli ciałe buty na nogach. Aby wysięk redaktorski nie poszedł na marne (mogłoby się bowiem zdarzyć, że przyszli historycy prasy nawet by się nie zająknęli o „Glasgow Herald“), proponuje winięt „Glasgow Herald“ na wieczną rzecz pamiątkę ozdobić butem. Tym z lewej nogi.

Skoro już mowa o północno-atlantyckiej prasie, to warto wspo-

mnieć o „United States News and world report“. W piśmie tym nie tak dawno pewien amerykański admirał oświadczył, że „Bliski Wschód z jego ogromnymi zapasami ropy może rozpatrywać jako najpoważniejszą w świecie ekonomiczną zdobycz“.

Coż za kapitalne sformułowanie! Po pierwsze — rozpatrywać. Siedzi sobie taki admirał na pokładzie pancernika, gra na fujarce, dajmy na to potpourri z „Bajadery“, i rozpatryuje zapasy ropy na Bliskim Wschodzie. Idylla. Amerykański admirał w charakterze zwolennika kontemplacyjnej filozofii rozpatrywania ropy — „to ci dopiero super“.

A w czasie takiej kontemplacji różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Na przykład, że koledzy z „Anglo - Iranian Oil Company“ też rozpatrywali irańską ropy, a teraz dmuchają na poparzone łapy. I mimo woli człowiek dochodzi do takiej ściśle heglowskiej triady: od rozpatrywania — przez bicie — do dmuchania na oparzeliny. Albo od obliźywania się na myśl o dywidendach do obliźywania własnych ran. Przy czym to drugie obliźywanie się stanowi niekiedy (jak w przypadku Baku) całkowitą negację pierwszego. A jeśli amerykański admirał nie wierzy, to niech się spyta swoich angielskich kolegów. Oni uprawdźcie też Hegla nie czytali, ale ostatecznie decydują praktyka.

To wszystko po pierwsze. A po drugie to zważcie, że można rozpa-

trywać. Można a więc nie musi się. A jeśli irańscy robotnicy tym razem ostatecznie dojdą do wniosku, że skoro się nie musi to po co? Takie wnioski są niebezpieczne. Wszak ci sami irańscy robotnicy doszli już do wniosku, że skoro Ghamal es Sultaneh nie musi być premierem to nie trzeba, aby nim był. Rozumując dalej w ten sposób mogą dojść do przykrych dla niektórych admirałów — nie admirałów — wniosków. A wiadomo, że proletariatu nie jest zwolennikiem kontemplacyjnej filozofii. I co wtedy? Za owo m o z n a trzeba się będzie tłumaczyć przed F. B. I.

Panie admirale, oświadczenie nie radziłbym czekać na tak smutne zakończenie. Niech pan lepiej od razu machnie jeszcze jedno interwiew. Tym razem na temat logiki. Ze te wszystkie, panie, przesłanki i wnioski to komunistyczny wymysł. Ze kwadrat logiczny uchwalony został na tajnym posiedzeniu Kominternu pod przewodnictwem Arystotelesa. A tego Arystotelesa to też radziłbym „pod kluczyki i bez krzyku“. Gdyby pan wiedział co ten paszek w ogóle wypisywał. Niech pan tylko posłucha: „jeśli w państwie wiele osób pozabawionych jest praw politycznych, jeśli jest w nim wielu biedaków, wówczas takie państwo nieuchronnie przepełnione jest wrogo nastrojonymi elementami“.

Panie admirale, rany boskie!

R. Zim.

Z TYGODNIA

W KRAJU

PIERWSZĄ POWSZECHNĄ WYSTAWĘ ARCHITEKTURY POLSKI LUDOWEJ

przygotowuje SARP. Wśród ponad 100 eksponatów zobaczymy m. in. makiety i plany dalszych części MDM, projekty odbudowy śródmieścia Gdańska, plany rozbudowy Nowej Huty i osiedli mieszkaniowych na Śląsku. Otwarcie wystawy nastąpi 27 września w salach Zachęty.

„WIEŚ POMORSKA I KUJAWSKA CHOPINOWI“

— pod tym hasłem odbyły się 7 września uroczystości chopinowskie w wsi Szafarnia i w Rypinie.

W Szafarni Chopin był po raz pierwszy w wieku lat 14. Dwukrotnie spędził tam wakacje u rodziców swego przyjaciela — Dziewanowskiego. Z Szafarni wyruszył na wycieczki do Płocka, Torunia — i do wielu innych miejscowości — aż po Gdańsk. Odwiedził również w okolicach Szafarni wiele okolicznych wiosek. Z Szafarni redagował dla grona najbliższych „Kuriera Szafarskiego“, w którym dowcipnie opisywał wydarzenia „w domu“ i „za granicą“.

Obecnie w Szafarni zostanie otwarty Ośrodek Chopinowski. W Ośrodku — podobnie jak w Żelazowej Woli — będą organizowane zjazdy muzykologów i koncerty chopinowskie. Nad Ośrodkiem objęła patronat załoga cukrowni Ostrowskiej.

SPECJALNE KONCERTY SYMFONICZNE W FABRYCE SAMOCHODÓW CIĘŻAROWYCH

W Rzeźni Miejskiej oraz w innych lubelskich zakładach pracy organizuje w nowym sezonie koncertownym Państw. Filharmonia w Lublinie. Przewidziane są również wyjazdy w teren, m. in. do Fabryki Wyrobów Metalowych w Kraśniku, do cukrowni w Strzyżowie (pow. hrubieszowski) i cementowni w Rejowcu. Programy tych koncertów mają stopniowo zapoznawać słuchaczy z zagadnieniami twórczości muzycznej przez omawianie wykonywanych utworów.

Po raz pierwszy w Lublinie będą wykonane w tym okresie: I symfonia Borodina, suita „Komedianti“ Kabalewskiego, „Kasia“ Wiechowicza, uwertura „Lokietek“ Elsnera, „Noce w ogrodach Hiszpanii“ de Falla, intermezzo „W ogrodzie“ Deliusa. Jako soliści wystąpią m. in. wybitni pianiści: H. Szłomka, H. Czerny-Stefańska, Wł. Kedra, J. Ekier, T. Zmudzinski oraz 16-letni skrzypek Godziszewski.

PO 3 SPEKTAKLE MIESIĘCZNIE DLA MIESZKAŃCÓW NOWEJ HUTY

— podjęły się ostatnio wystawić wszystkie teatry krakowskie. Specjalne koncerty dla Nowej Huty organizuje również Filharmonia Krakowska.

HISTORII TEATRU I KRYTYCE TEATRALNEJ

poświęcony jest nowy kwartalnik pn. „Pamiętnik Teatralny“. Pierwszy numer ośmiu zawiera m. in. następujące pozycje: L. Kruczkowski — „Sztuka w świetle nowej Konstytucji“; Antologia polskiej krytyki teatralnej; J. Pomianowski — „Uwagi o autorze „Rewizora“ M. Gogol — „W przedsonku teatralnym“, „Epilog czyli rozwiązanie „Ralwizora“ i „Myśli o teatrze“; St. Dąbrowski i J. Szwarzędzki — „Gogol na scenach polskich“; „Misteria personata“ — po raz pierwszy opublikowany tekst polskiej sztuki z r. 1657; G. Sinko — „Wielkość i upadek realizmu w teatrze angielskim XVII wieku“; W. Padwa — „Droga dramatu radzieckiego“; I. Schillerowa — „Z literatury o K. S. Stanisławskim“. Numer niejako „otwierają“ nadzwyczaj ciekawe wypowiedzi klasyków dramaturgii polskiej o społecznej funkcji teatru.

ERICH SOJKA

poeta i tłumacz dzieł literatury polskiej na język czeski — po miesięcznym pobycie w Polsce wyjechał do Pragi. Sojka przeżył m. in. wiele utworów Bolesława Prusa, zawartych w dwutomowym czeskim w-w-borze dzieł Prusa (m. in. „Antek“, „Michałko“, „Sieroca dola“, „Katarzyna“, „Komorników“ W. Orkana, „Ojczyzna“ i „Płomień na bagnach“ W. Wasilewskiej. Ostatnio z pisarzami czeskiimi I. Pilarzem i W. Zawadą opracowywał znajdującą się już w druku „Antologię współczesnej poezji polskiej“.

WYBITNI ARTYŚCI RUMUŃCY

solistka Opery w Bukareszcie, śpiewaczka Anna Talmaceanu oraz wionolencistka Radu Aldulescu — występują obecnie w Polsce. Oboje

noszą miano zasłużonych Artystów Rumuńskiej Republiki Ludowej. Aldulescu jest laureatem konkursu muzycznego na Światowym Festiwalu Młodzieży w Pradze (r. 1947) oraz zdobywcą II nagrody na Złocie Młodych Bojowników o Pokój w Berlinie (r. 1951).

SZUKĘ O NAFTALIM BOTWINIE

nieulekłym wojownikowi KZM, zamordowanemu przez sanację za dokonanie zamachu na prowokatora Czerwonego — napisał Grzegorz Smoliar. Prapremiera tej sztuki pt. „Zwykły żołnierz“ odbyła się w Państw. Teatrze Żydowskim we Wrocławiu. W roli Botwina wystąpił Karol Latowicz.

Po występach we Wrocławiu zespół teatru odwiedzi m. in. Warszawę i Łódź.

POLSKĄ PRAPREMIERĘ SZTUKI „TANKOWIEC NEBRASCA“

przygotował Państwowy Teatr Nowy w Łodzi. Sztuka, której autorem jest postępowy pisarz amerykański H. Tank, ukazuje zwycięską walkę marynarzy statku amerykańskiego z wyzyskiem przedsiębiorstw żeglugowych. „Tankowiec Nebraska“ wystawiono uprzednio kilka amatorskich zespołów teatralnych Nowego Jorku i Londynu, a ostatnio sztuka grana była w NRD,

ZA GRANICĄ

150 ROCZNICA ŚMIERCI ALEKSANDRA RADISZCZEWA

wielkiego rosyjskiego pisarza i filozofa, autora „Podróży z Petersburga do Moskwy“ — będzie uroczystie obchodzona 24 września br. w ZSRR. Związek Pisarzy Radzieckich powołał w związku z tym komitet obchodu, któremu przewodniczy I. Anisimow. W programie uroczystości przewidziane jest m. in. zorganizowanie sesji naukowych, poświęconych twórczości Radiszczewa, o z otwarciu szeregu specjalnych wystaw.

W STUDIACH KIJOWSKIEJ STACJI TELEWIZYJNEJ

odbywają się już próbną audycje (Dwa razy tygodniowo nadawane są filmy i koncerty). Po całkowitym zakończeniu budowy monumentalnego Domu Radia, gdzie mieszczą się również i studia telewizyjne — mieszkańcy Kiowa będą mogli oglądać na ekranach telewizorów przedstawienia kijowskich teatrów, zawody sportowe i in. widowiska. W mieszkaniach prywatnych w Kijowie zainstalowano już ok. 2,5 tys. aparatów telewizyjnych. Telewizory zakupują również kolchoźnicy z pobliskich wsi.

NAJWIĘKSZE W ZSRR KINO

„Wielkan“ znajduje się w Leningradzie przy Alei im. Lenina. Film ogląda tam jednocześnie 2 tys. widzów, w ciągu miesiąca więc przejdzie się przez kino 250 tys. osób, a w ciągu roku — do 3 milionów. Architektonicznie gmach kina przypomina teatr — widownia obejmuje parter, loże nad parterem i 3 piętr. balkon wraz z 2 lożami.

Przed rozpoczęciem seansów koncertuje orkiestra symfoniczna pod batutą W. Barnabelli.

REZOLUCJĘ O ROZWOJU KINEMATOGRAFII W NRD

uchwaliło niedawno Biuro Polityczne KC SED. Po omówieniu najważniejszych osiągnięć postępowego filmu niemieckiego, rezolucja wskazywała na pewne braki w pracy twórcy DEFA, przede wszystkim zaś na niedostateczną produkcję filmów poświęconych walce o pokój i jedność Niemiec. Podkreślono również, że za mało uwagi poświęca się filmom, które ukazywałyby dzieje niemieckiego ruchu robotniczego, a w szczególności życie i działalność Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Rezolucja omawia również problem stworzenia pełnowartościowych scenariuszy i w związku z tym — rozszerzenie współpracy pisarzy z filmem.

„Wiele filmów — wskazuje rezolucja — odzwierciedla życie z pozycji realizmu krytycznego. ograniczając się jedynie do analizy i krytyki rzeczywistości, niedostatecznie zaś spełnia rolę wychowawczą mas pracujących w duchu socjalizmu“.

W WIELU MIASTACH W. BRYTANII

wyświetlane są obecnie z niesłabnącym od dłuższego czasu powodzeniem filmy radzieckie: „Kubańscy kozacy“, „Smiali ludzie“, „Pień tajgi“, „Miczurin“ i in. W 5 miastach wyświetlany jest „Upadek Berlina“ — w Londynie film ten nie schodził z ekranu przez 2 miesiące. Obecnie na ekran londyńskiego kina „Continental“ wszedł film „Na arenie“.